

ROK II.

MAJ

TOM V. (XI).

# DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE, ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA



5042c



CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: Częstochowa pod Jasną-Górą.

Skład w Warszawie: Ulica Żórawia Nr. 18.

1902

Дозволено Цензурою,  
Варшава 7 Мая 1902 года.



5042c

## Treść tomu V, majowego 1902 r., ogólnego zbioru XI.

1.	W miesiącu Maryi, przez Służebnicę Maryi. . . . .	3
2.	Zesłanie Ducha Świętego . . . . .	7
3.	Żywot Zbawiciela świata, przez Sługę Bożego. . . . .	10
4.	Cześć Bogarodzicy w pismach Ojców Świętych, przez ks. Wł. Fudalewskiego . . . . .	22
5.	O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa, przez ks. Alfonsa Trep- kowskiego . . . . .	28
6.	Dom Boży a lud Boży, przez księdza Antoniego Brykczyńskiego. 32	
7.	Dzieje klasztoru Jasnogórskiego . . . . .	36
8.	Biskup-Męczennik, opowieść z przeszłości, przez Michała Syno- radzkiego . . . . .	49
9.	Uroczystość ku upamiętnieniu ćwierćwiekowego panowania Je- go Świętobliwości Leona XIII . . . . .	56
10.	Nowiny z Częstochowy: Kościół parafialny Świętego Zygmunta w Częstochowie. — Kompania z Rędzin. — Ksiądz prałat Ka- zimierz Weloński w klasztorze O. O. Paulinów na Jasnej-Gó- rze. — Budowa wieży . . . . .	89
11.	Nowiny z daleka i z bliska: Imieniny Leona XIII. — Ksiądz prałat Leon Jungowski. — Sandomierz. — Kamieński. — Stu- lecie konsekracyi. — Osieck. — Zmarli ś. p. . . . .	100
12.	Wyjątek z „Litanii Loretąńskiej“ . . . . .	108
13.	Nowe książki religijne . . . . .	109
14.	Od Redakcyi . . . . .	110

## ILLUSTRACYE:

1. W miesiącu Maryi . . . . .	1
2. Zesłanie Ducha Świętego . . . . .	5
3. Projekt nowego kościoła parafialnego w Częstochowie . . . . .	79
4. Kościół parafialny pod wezwaniem Ś-go Zygmunta w Częstochowie . . . . .	87
5. Ołtarz główny w kościele Ś-go Zygmunta w Częstochowie . . . . .	91
6. Ks. prałat Weloński, w zakonie O. O. Paulinów O. Justyn . . . . .	94
7. Przygotowanie ciosów z kamienia szydłowieckiego do budowy wieży Jasnogórskiej . . . . .	97
8. Ks. prałat Leon Jungowski . . . . .	101
9. Obrazek z „Litanii Loretańskiej“ . . . . .	107





W miesiącu Maryi.





## W miesiącu Maryi.

Maj — zielono:  
Ziemi łono  
Najpiękniejsze szaty wdziewa:  
W każdej chatce  
Bożej Matce  
Lud, hołd niosąc, wdzięcznie śpiewa.

Wszystkie dary  
I ofiary  
Do Niebieskiej Pani niosą:  
Prośba leci  
Ziemskich dzieci,  
W cichy wieczór z nocną rosą.

I co żyje,  
Swą Maryę  
Wielbi, sławi, cześć oddawa;  
Ach, jak błoga  
Matce Boga  
Pieśń serdeczna, wzniosła, łzawa.

Ona słyszy  
W nocnej ciszy  
Szept modlitwy i westchnienie,  
Ona czuje  
I przyjmuje  
Tkliwej prośby każde tchnienie

Na ogrodów, łąk przestrzeni,  
Maj, nadobne Maryi dziecię,  
Swojej Matce wianki plecie  
Z ziół, kwiateczków i zieleni.

Już gierlandą tą majową  
Zdobią męże i dziewice  
Obraz Maryi — palą świece  
Przed figurą marmurową.

I śpiewają ziemi dziatki  
Hymny w domu i w kościele;  
Nawet słowik swoje trele  
Głosi na cześć Bożej Matki.

I żywiły i ptaszęta  
W wieczór cichy, z ranną rosą,  
Ofiary Jej, hołdy niosą;  
I modlitwa płynie święta.

Tak Ja wielbią! Ach, a Ona  
Miłość swoich dziątek czuje,  
I na padoł ten zstępuje,  
Tą miłością roztkliwiona.

Ku nam, czulej Matki okiem,  
W głąb dusz naszych aż spoziera;  
Całe serce nam otwiera  
Z swej litości, łask potokiem.

*Służebnica Maryi.*







Zesłanie Ducha Świętego.



## Zesłanie Ducha Świętego.

Chrystus Pan, pobłogosławiwszy Bogarodzicę, Jedenastu i innych z wiernych swoich, w ich oczach uniesion został do nieba; oni zaś w sercu swoim czuli wielkie roztesknienie i długo poglądali w niebiosy, gdzie znikł Mistrz ukochany. Naraz zjawili się przed nimi dwaj Aniołowie Pańscy, w postaci mężów urodziwych, w białe przyodzianych szaty, którzy przemówili słodko temi słowy:

— Mężowie galilejscy, czemu tu stoicie, patrząc w niebo? Jezus, który wzięt jest od was, tak przyjdzie z nieba, w takiej chwale, w jakiej widzieliście Go tam wstępującego. Ale ujrzycie Go dopiero, gdy wybije godzina ostatnia świata, bo wówczas przybędzie sądzić żywe i umarłe.

To rzekłszy znikli, wierna zaś trzódka wróciła do Jeruzalem, a zamknąwszy się w wieczerniku, trwała na modlitwie. Składała się ta rzesza wiernych ze stu i dwudziestu osób. Była pomiędzy niemi, jak się rzekło, Bogarodzica, niewiasty święte, krewniacy Maryi Jezusowej, uczniowie Mistrza i Jedenastu. Tych ostatnich imiona są: Piotr i Jan, Jakub i Andrzej, Filip i Tomasz, Bartłomiej i Mateusz, Jakub Alfeuszów, Szymon Zelotes i Judas Jakubów.

W czas niejaki, Piotr, powstawszy, te rzekł słowa:

— Bracia moi! Musiało się wypełnić proroctwo, które wypowiedział Duch Święty przez usta Dawidowe o Judaszu Iskaryocie, co Mistrza naszego zaprzedał był i wydał. Był on policzon z nami, należał do nas, więc dostała mu się częśćka naszego usługowania, częśćka apostołstwa. Stracił ją, zmarnował przez zdradę. Zbrodnia na złe mu wy-



sza. Bo oto obwiesił się i rozpękł na poły, i wypłynęły wszystkie wewnętrzności jego. Wszyscy mieszkańcy Jeruzalem wiedzą o jego zbrodni, wiedzą, że dręczony wyrzutami sumienia dopuścił się samobójstwa, wprzód rzuciwszy pod nogi Sanhedrynowi otrzymane za zdradę srebrniki. A przewrotni członkowie Sanhedrynu, którzy sami dopuścili się najstraszliwszej w świecie nieprawości, srebrników tknąć nie śmieli, gdyż uznali je za nieczyste. „Nie godzi się — mówili — kłaść ich do skarbony, bo to zapłata krwi“. I kupili rolę garncarską na pogrzeb dla pielgrzymów, a rolę ową nazwali mieszkańcy Jeruzalem „Halcedama“, co znaczy — „rola krwi“. Miejsce po zdrajcy między nami puste. Trzeba nam tedy wybrać z tych mężów, którzy w Mistra uwierzyli i nauk Jego słuchali przez wszystkie czasy, ode chrztu Janowego, aż do tego dnia, w którym został wzięt od nas do nieba; trzeba, mówię, wybrać z pośród tych mężów jednego, któryby mógł świadczyć o wszystkich Jego cudach, o zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu Jego.

Jakoż Jedenastu na dwóch takich mężów zwrócili uwagę: na Józefa, zwanego Barsabasem albo Justem i na Macieja. Tym dali, zwyczajem przyjętym, do ciągnięcia losy, a los wypadł na Macieja. On też został policzony do Apostołów.

Dni dziesięć trzódka Chrystusowa trwała w wieczerniku na rozmyślaniu, modlitwie i innych zwierzeniach pobożnych, a dnia dziesiątego przypadało u Żydów wielkie święto, z nadzwyczajną zawsze uroczystością obchodzone: rocznica odebrania przez Mojżesza na górze Synai przykazań Bożych. Rocznicą ową ściągano do Jerozolimy Żydów z całego świata, więc i teraz przybyli do tej stolicy nabożnicy z Persyi, z Medyi, z krainy Edomitów, z Mesopotamii, z Judei, z Kapadocyi, z Pontu, z głębszej Azji, z Frygii, z Pamfilii, z Egiptu, z Lidyi, z Krety i z Arabii. Właśnie w dzień tego święta, około godziny dziewiątej z rana, dał się słyszeć wielki szum z nieba, jakoby nagle zrywającego się wichru. Szum ten nappełnił wieczernik, a modlący się tam ujrzeli w powietrzu unoszące się światła ogniste, w kształcie języków, które spływawszy z góry, spoczęły na każdym z nich. W tej chwili wszyscy zostali nappełnieni Duchem Świętym.

Ten chrzest ognia zapowiedział był Jan Chrzciel. Nowe Prawo Boże zostało ogłoszone w chwili, gdy Żydzi, już niegodni, obchodzą pamiątkę Prawa starego. Bóg rozszerzył dziedzinę człowieka i oznajmia, iż odtąd chce innych, obfitych zbiorów, a Duch Święty dokończył przygotowanie do tego nowego żniwa.

Apostołowie zaraz poznali, iż mieli nauczać cały rodzaj ludzki. Poczęli mówić rozmaitemi językami, jako im Duch Święty wymawiać dawał, a których przedtem zupełnie nie znali. Na odgłos tego cudu, nadbiegli Żydzi z całej Jerozolimy, zdumienie zaś ich nie miało granic,

skoro usłyszeli tych ubogich, w naukach wcale nie wyćwiczonych Galilejczyków, mówiących wszelką mową. Zapytywali jeden drugiego: co by to miało znaczyć...

— Izali oto ci wszyscy, którzy mówią, nie są Galilejczycy? — powtarzali, nie mogąc ochłonąć z podziwu. — Dobrze słyszymy, że opowiadają wszystkimi językami świata sprawy Boże. Co to znaczy?

Niektórzy śmiali się i drwinowali, nadmieniając:

— Upili się. Muszczu pełni są.

Piotr wówczas wstał i raz pierwszy głos zabrał, jako Księżę Apostołów i Pasterz Najwyższy Chrystusowego Kościoła. Przypomniał zgromadzonemu przepowiednie Proroków; tłumaczył, iż stało się zstąpienie w dusze ludzkie Boga Ducha Świętego, który odtąd ma rządzić Kościołem, przez Syna Bożego założonym na ziemi; dowodził Bóstwa Chrystusa Pana. Mówił zaś temi słowy:

— Mężowie żydowscy i wszyscy, którzy mieszkacie w Jeruzalem, niech wam to jawne będzie i przyjmijcie do uszu słowa moje, rozważcie je w sercach swoich. Nie pijani są ci, jako wy mniemacie, gdyż godzina jest ranna; ale oto spełniło się, co był przepowiedział Joel: „Po przyjsciu Mesjasza wyleje Pan Ducha Świętego na wszystkich ludzi, a prorokować będą synowie wasi, a młodzieńcy wasi widzenia będą widzieli, a starcom waszym sny się śnić będą. Bo iście w one dni na służbę swoje i na służebnice swoje wyleje Pan Ducha Swego i będą prorokowali, będą nauczali wiary prawdziwej. I da cuda na niebie, i znaki na ziemi, krew i ogień, i kurzawę dymu. Słońce się obróci w ciemności a księżyc w krew przedtem, niż przyjdzie dzień Pański, wielki i jawny. Wszelki, którybykolwiek wzywał imienia Pańskiego, zbawion będzie“. Wiara prawdziwa, wiara Chrystusowa zwycięży i shołduje sobie świat cały, ale do tryumfu dojdzie przez drogę męczeństwa, które całe morza krwi z wyznawców Zbawiciela utoczy.

— Mężowie izraelscy! — mówił dalej Piotr — słuchajcież bacznie słów moich. Jezusa Nazareńskiego, Mesjasza od Boga przysłanego, który posłannictwo Swoje stwierdził cudami i znakami, jakie czynił w oczach waszych w imię Boże, tego Jezusa Nazareńskiego pozwoliliście bezbożnikom umęczyć i stracić. Bóg wszelako wskrzesił z martwych Syna Swego, któren zniweczył następstwo grzechu pierworodnego, otworzył niebo i wyprowadził dusze z otchłani. Przecież Dawid prorokował: „Upatrowałem zawždy Pana przed sobą, bo mi jest po prawicy, abym nie był wzruszon. Dlatego rozweseliło się serce moje, a rozradował się język mój, nadto i ciało moje odpocznie w nadziei. Bo Mesjasz nie zostawi duszy mojej w piekle, nie pozwoli sprawiedli-



wemu oglądać skażenia. Oznajmił mi Pan drogi żywota i nappełnił radością, wprowadzając za sprawą Mesyasza przed oblicze Swoje“.

Mężowie izraelscy! Mogę przecież śmiało mówić do was o Patriarŝe Dawidzie, bo grób jego istnieje u nas, oglądamy go do dnia dzisiejszego. Dawid, będąc Prorokiem i wiedząc, że go Bóg zapewnił, iż z owocu biodry jego, z jego rodu miał przyjść na ten świat Mesyas, przewidując proroczo, z natchnienia Ducha Świętego, mówił, iż Chrystus nie pozostanie w grobie, ani będzie zepsowane ciało Jego, ani pozostanie w piekle, lecz mówił, że Chrystus zmartwychwstanie. Jakoż tego Jezusa wzbudził Bóg z martwych, czego my wszyscy jesteśmy świadkowie. Prawicą tedy Boga został Jezus podwyższony, przez zmartwychwstanie i wniebowstąpienie, a obietnicę zesłania na ludzi Ducha Świętego wzięwszy od Boga Ojca Swego, wylał Ducha Świętego na nas i słyszycie Go w tej chwili, bo przemawia do was przez usta nasze różnemi językami. Rozumcież tedy, że Dawid, mówiąc: „Rzekł Pan Panu memu: — Siądź po prawicy mojej“ — nie mówi o sobie, lecz o zmartwychwstałym Chrystusie, który w niebo wstąpił, siadł na prawicy Ojca i zesłał obiecane go Ducha S-go. Niechaj tedy wie i wierzy cały Izrael, iż Panem i Chrystusem Bóg Sam uczynił tego Jezusa, któregoście wy ukrzyżowali!

Tak mówił Piotr wobec kapłanów, doktorów, faryzeuszów i ludu, gdy nie upłynęło jeszcze dwa miesiące od śmierci Jezusa Chrystusa, a ta jego mowa była pierwszą formą wyznania wiary, owego *Credo*, jakie odtąd miało rozbrzmiewać nieustannie po całym świecie i które miało cały świat przekształcić.

Słuchały zdumione rzesze, wielu zaś skruczę uczuło i ci mówili do Piotra oraz do innych Apostołów:

— Cóż mamy czynić, mężowie i bracia?

— Pokutę czyńcie — odparł Piotr — a niech ochrzczone będzie każdy z was w imię Jezusa Chrystusa, na odpuszczenie grzechów waszych; wtedy otrzymacie dar Ducha Świętego. Albowiem dana jest obietnica i wam, i dziatkom waszym, i wszystkim poganom; wszystkim przyzywa Pan Bóg nasz do Kościoła Swego.

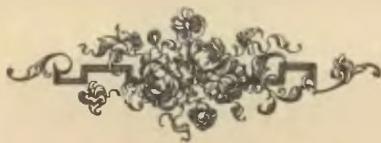
Długo jeszcze Piotr nauczał i upominał rzeszę, powołując się na Pismo S-te, na proroctwa, na cuda Chrystusa, przekonywał o Jego Bóstwie. Zakończył zaś tak:

— Wyzwólcie się od tego narodu przewrotnego; przez chrzest, przez życie chrześcijańskie, odłączcie się od bezbożnych Żydów i od niewiernych narodów pogańskich.

I stało się, że dnia tego przyjęło chrzest bez mała trzy tysiące ludzi. Ci trwali w nauce Apostolskiej, przyjmowali Sakramenta Święte,

trwali w świętobliwości. A na każdą duszę, słuchającą Apostołów, przychodziła bojaźń; słuchano Słowa Bożego z trwogą i czcią, bo wiele cudów Apostołowie czynili w Jerozolimie. Wszyscy zaś, którzy uwierzyli w Chrystusa i naukę Jego wyznawali, żyli w szczerem braterstwie, trzymając się gromady, wspierali się wzajem, dzieląc majątnością, wzrastali w pobożność i wszelkie cnoty, chwalili Boga i mieli łaskę u wszystkiego ludu.

Tak oto rozrastał się i potężniał Kościół Boga Prawdziwego, w Trójcy Przenajświętszej Jedyne.





# ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA Pana Naszego Jezusa Chrystusa

według Ewangelij Świętych opowiedziany  
przez Sługę Bożego.

W tem oto zacisznem miasteczku mieszka Panienka nad wszelki wyraz skromna i cicha, świata zupełnie nieznana, chociaż przeznaczona jest do otrzymania Najwyższego Objawienia od Pana nad pany.

Bo czas się wypełnia, nadeszła chwila, w której odwieczne a gorące pragnienia i spodziewania ludu żydowskiego skutkiem się uwieńczą. Przedwieczny atoli nie wejrzał na wielkich tego świata, pominął starszyznę kapłańską, uczonych, doktorów, bogaczy, a zwrócił się do małych i z pośród nich wybrał istotę pokorną, która nawet w oczach własnych znaczenia ani zasług żadnych nie posiada.

Tak to Bóg w sercu ludu przechowuje dusze, będące odbiciem wszelkiej myśli tego ludu, a potem, z pośród dusz onych, powołuje wybranych, którzy lud cały zbawić mają...



Imię tej Panienki, Marya, nie dobiegła jeszcze szesnastu wiosen. Imię ojca Jej—Joachim, matki—Anna. Ale rodzice już ją byli odumarli. Skromną jest, chociaż z rodu królewskiego i krwi Dawidowej wywieść się może. Wiedziała o tem szacownem pochodzeniu Marya, a także nie mogło ono być nieznane jej spółmieszkańcom.

Bo nadmienić trzeba, że Żydzi z niezmierną troskliwością przechowywali cześć imienia i krwi. Przez Abrahama tworzyli oddzielne plemię w gromadzie ludów wschodnich; przez Jakuba i 12 jego synów rozdzieleni zostali na 12 pokoleń, lecz to nie zatarło w nich poczucia jedności, braterstwa, jakie ze wspólności pochodzenia płynie. Dbali tedy najtroskliwiej w świecie Żydzi o czystość pochodzenia swego od Abrahama, a obok tego, strzegli niemal zazdrośnie nieskazitelności krwi swego pokolenia. Dla zabezpieczenia jej od wszelkiej skazy, żaden potomek Abrahama nie tylko nie zawierał związków małżeńskich z córkami innego, nie Abrahamowego plemienia, ale także żaden z nich nie pojął małżonki z innego pokolenia, jeno z tego, do którego sam należał. Właśnie tej religijnej czci swojej dla krwi i plemienia swego zawdzięcza naród żydowski w znacznej mierze to, że przetrwał tysiące lat, że wciąż trwa niepożyty, chociaż skazany został na rozproszenie pomiędzy ludy całego świata; na tem również niewzruszonym przywiązaniu Żydów do plemienia swego opiera się istniejący u nich od najdawniejszych czasów zwyczaj układania spisów, ściśle wykazujących pochodzenie i przodków każdego z nich. Żydzi, rozdzieleni po śmierci Jakuba na 12 pokoleń, wiernie dochowali tego podziału, trzymając się zarazem jedności plemiennej, która wszystkie pokolenia obejmowała i łączyła. Pokolenie Judy, wróciwszy z niewoli babilońskiej, zaćmiło swemi zasługami inne i stało się niejako przedstawicielem, rdzeniem narodu żydowskiego, który też judzkim nazywać zaczęto. Od tego czasu spisy pochodzenia układały się nie porządkiem pokoleń, ale porządkiem rodów. Jednak i w tym nowym porządku, rody pojedyncze, czy to przy pomocy dawnych spisów, czy przy pomocy dokumentów prywatnych, czy wreszcie przy pomocy podań ustnych, przechowywały pamięć pochodzenia i pokolenia swego. Zwłaszcza rody, należące do pokolenia Judy, ze względu na przepowiednie, iż z tego pokolenia narodzi się Mesjasz, z nadzwyczajną bacnością strzegły nieskazitelności rodowej. Równą troskliwością odznaczało się pokolenie Lewi, przeznaczone do służby Bożej, na kapłanów. Nie posiadało ono wprawdzie wydzielonej prowincyi na mieszkanie, jak inne pokolenia, żyło rozrzucone po całym kraju: ale przywilej kapłaństwa, którym się szczyciło, wielkim otaczał je blaskiem. Więc z pilnością nadzwyczajną przechowywały rody kapłańskie tytuły swoje i dowody pochodzenia. W chwili zawierania związków małżeńskich, członkowie pokolenia Lewi musieli przedstawiać dowody owe, bo

nie mogli się kojarzyć z córkami innych pokoleń, jeno z córkami pokolenia swego. Do troskliwości o czystość plemienną i pokoleniową składała Żydów nietylko cześć dla przeszłości dziejowej, nietylko pamięć chlubnych zasług ojców, ale jeszcze dbałość o interes osobisty. Wedle prawa żydowskiego, ziemie należały do rodów i nigdy z posiadania rodów wychodzić nie mogły; zatem, wykazując prawe od danego rodu pochodzenie, Żyd tem samem udowadniał dziedziczne swoje do danej ziemi prawo własności. Dlatego, chociaż niewola babilońska wielkie sprawiła w domowych stosunkach żydowskich zamieszanie, wszelako rody, bądź przez dumę, bądź przez interes własny, bądź z powodów religijnych, potrafiły za pomocą małżeństw odpowiednio dobranych, przestrzegać czystości krwi, nienaruszonej całości pokolenia i w starannie utrzymywanych spisach rodowych, zawsze na to gotowy dowód miały. Słowem, każdy Żyd wiedział dokładnie, z jakiego pochodzi domu, z jakiego rodu, z jakiego pokolenia, jaka krew w żyłach jego płynie i mógł to wykazać za pomocą świadectw, przechowywanych w świątyni. Opuszczając prowincję swoją, bądź też udając się do krainy obcej, Żydzi zabierali z sobą rodowody i inne papiery familijne. Fałszu ani omyłki w spisach rodowych być nie mogło, bo prowadzili je wyłącznie do tego przeznaczeni kapłani. Takich kapłanów, którzy zarazem przepisywali księgi święte, było za czasów króla Dawida 6 tysięcy.

Wiedziała tedy Marya, że z Dawidowej krwi pochodzi, wiedzieć o tem musieli Nazarejczycy. Tak przypuszczać można na zasadzie tego, co się wyżej przytoczyło. Dzieweczka wszakże nie czuła w sercu svojem dumy, daleką była od zdrożnej chętności. Najlepszy tego dowód w tem, że od pierwszej chwili życia ofiarowała się Bogu i wychowała się w świątyni. Jej skromność, pokora, świętobliwość zdumiewa, bo przecież należała do narodu, w którym każdej niewieście wolno było mieć nadzieję, że zostanie matką Mesyasza; do plemienia, które właśnie z tego powodu bezdzietność poczytywało za hańbę, za uposledzenie, za karę Bożą. Ona jednak usłuchała głosu natchnienia i poświęciła panieństwo swoje niebu. Mimo to, musiała się zastosować do zakonu i zwyczaju żydowskiego: będąc jedyną domu rodziców dziedziczką, została niedawno temu zaręczoną i poślubioną mężowi imieniem Józef, z tego co i Ona pokolenia oraz rodu, jako najbliższemu krewnemu Swemu, który miał wraz z Nią objąć Jej dziedzictwo. Obrząd wprowadzenia Jej do domu męża jeszcze się nie odbył. Mieszkała jeszcze w domu po rodzicach odziedziczonym i wedle powszechnie przyjętego w Jej narodzie zwyczaju panien poślubionych, przygotowywała dla siebie wyprawę.

Była zaręczona i poślubiona Marya Józefowi, a jednak pozostawała jeszcze w domu rodzicielskim, bo taki był obyczaj u Żydów w owe



czasy. Małżeństwo opierało się u nich na dwóch ceremoniach: na spisaniu umowy ślubnej i zaręczynach; powtóre — na wprowadzeniu oblubienicy do domu oblubieńca. Okres zaręczynowy trwał rok cały. Sam obrzęd zaręczynowy (przyrzeczenia) uważany był za zobowiązanie święte, niewzruszone, nieodwołalne, a dziewczica zaręczona, któraby śmiała złamać przyrzeczenie swoje, ulegała karze śmierci przez ukamienowanie, tak samo, jak żona cudzołożna. To też obrzęd zaręczyn nazywano „poślubinami“, a odbywał się z wielką powagą i uroczystością. Rodziny mającej się połączyć pary zgromadzały się razem, w obecności kilku świadków, oblubieniec podawał oblubienicy lub jej ojcu obrączkę złotą, bądź inny jaki klejnot, czasem wręczał tylko piśmienne zobowiązanie poślubienia dziewczycy, a następnie przemawiał do niej temi słowy: — Oto przez tę obrączkę, jesteś mnie poświęcona, według zakonu Mojżeszowego i Izraelowego. Po upływie roku od chwili zaręczyn, obchodzono wprowadzenie oblubienicy do domu oblubieńca, czyli właściwe zaślubiny. Rodzice odprowadzali córkę sami i sami oddawali ją mężowi; zdarzało się jednak, że oblubieniec sam przychodził i sam zabierał oblubienicę. Opuszczając dom rodzicielski córkę, ojciec i matka błogosławili; odchodziła namszczona wonnościami, przystrojona najświetniej, z wieńcem na skroniach, w orszaku przyjaciółek, z których każda niosła lampę płonącą i długą gałązkę mirtową. Wśród takiego orszaku postępowała oblubienica z włosami rozplecionymi, z twarzą zasłoniętą; przyjaciółki powiewały gałązkami mirtu nad jej głową, tłum krewnych i znajomych wydawał okrzyki radosne, śpiewacy, przy odgłosie cymbałów i innych narzędzi muzycznych, wywodzili pieśni słodkie, a chór ten ochoczy, pełen wesele, milkł dopiero u podwojów komnaty małżeńskiej. Gody weselne trwały dni siedm — dopiero po upływie tego czasu małżonków zostawiano w spokoju.

Mieszkała tedy Marya w Nazarecie, nie przewidując najświętszego Swego przeznaczenia; nie przeczuwając, że odkąd tylko świat widzialny zaczął istnieć, już Ją różne postacie, to jest *figury* przedstawiały i proroctwa ustawicznie zapowiadały. W pierwszej bowiem zaraz księdze Pisma Ś-go czytamy, że czwartego dnia, w ciągu tworzenia świata: „uczynił Bóg dwa światła wielkie: światło większe, aby rządziło dniem, i światło mniejsze, aby rządziło nocą“. Ojcowie Święci tłómaczą, że było to *figurą*, zapowiedzią tego, co miał Bóg uczynić w powtórnym jakby odtworzeniu człowieka przez odkupienie i co istotnie uczynił, obdarzając nas Jezusem i Maryą. Pan Jezus, będący według Ś-go Jana „światłością prawdziwą, która oświeca każdego człowieka na ten świat przychodzącego“, jest też według Ś-go Mateusza „Słońcem sprawiedliwości“, z którego Kościół czerpie swoje światło; a Marya, według Psalmisty „piękna, jako księżyc“, odbijając na Sobie promienie słoneczne,

przyświeca ziemi wśród nocy, nieustannem pośrednictwem Swojem między Bogiem a ludźmi, sprowadza na dusze nasze, nocami grzechów okryte, promienie Łaski Bożej.

Cały zresztą Stary Testament — powiada Ojciec Prokop, słynny nasz pisarz religijny — pełen jest *figur* podobnych, przez które Duch Ś-ty określał Maryę, na długie wieki przed Jej przyjściem na świat. Widzimy też, że Ojcowie Święci i teologowie (badacze spraw religijnych) stosują do Niej wszystkie najpiękniejsze obrazy, wszystkie najwznioślejsze postacie Starego Testamentu, w nich Jej zapowiedź upatrując. W takim znaczeniu nazywają Ją: „Rajem Rozkoszy“, w którym nowy Adam, to jest Syn Boży, stając się człowiekiem, obrał sobie mieszkanie; „Drzewem Żywota“, posadzonem wśród raju, które jedno tylko godnem zostało wydać owoc zbawienia; „Źródłem przeczystem“, wytryskującym z ziemi, dla użyżnienia całej jej powierzchni; nową „Arką Noego“, bezporównania większą od dawnej, gdyż przez Nią cały świat wyrwany został z potopu grzechowego; „Tęczę“, zapowiadającą nam pokój i pojednanie nasze z Bogiem; „Drabiną Jakubową“, po której wchodzi się do nieba; „Morzem Czerwonym“, w którym zatopiony został Faraon piekielny, wróg duszy naszej; „Przybytkiem, Domem i Świątynią Bożą“, w której, w całej Swej chwale, przebywał Pan Bóg, zszedłszy na ziemię; „Skrzynią nowego przymierza“, w której zawarte były nowe przykazania Boże; „Ołtarzem ofiarnym“, na którym Syn Boży złożył się w ofierze Ojcu Przedwiecznemu za grzechy świata; „Ubłagalnią“, przez którą strapieni pociechy dostępują; „Stołem od chleba pokładnego“, na którym spoczywał chleb żywota wiecznego; „Świecznikiem złotym“, przyozdobionym siedmioma darami Ducha Świętego, jakby siedmiu ramionami, z których wytryskuje precudne światło; „Puharem świętym, pełnym wina, rodzącego dziewice“; „Runem Gedeona“, zroszonem rosą Łaski Niebieskiej, gdy bez niej usychała cała ziemia, a które znów suche było, kiedy świat cały zwilgocony został wyziewami grzechu pierworodnego; „Wieżą Dawidową, tysiącami tarcz zawieszoną“; „Tronem Salomona“, wspanialszym nad wszystkie trony w świecie; „Łóżem Króla Pokoju, strzeżonem przez sześćdziesięciu mężnych“; „Wozem ognistym“, na który wszedł prawdziwy Elias; „Obłokiem“ tajemniczym, zapowiadającym żyźność niezwykłą na ziemi całej; „Bramą zawsze zawartą“, przez którą przejść tylko Wszechmocny miał prawo; „Piecem rozpalonym“, w którym przebywał bez szkody Bóg-Człowiek; „Sadzawką owczą“, uzdrawiającą wszystkich w niej zanurzających się. Oprócz tych jest w Piśmie Świętem mnóstwo innych *figur*, innych obrazów przenośnych, które Kościół Boży stosuje do Maryi, z czego okazuje się, że przez wszystkie wieki, poprzedzające wcielenie

Syna Bożego, Przebłogosławiona Dziewica, na Matkę Jego wybrana, była najwyraźniej od Boga wskazana.

Również Bożą Rodzicielkę wyobrażały wszystkie święte niewiasty Starego Testamentu. A więc: mądra Rebeka; pobożna Marya, siostra Mojżesza; mężna Jachela, która ręką własną zabiła Sysara, wodza Chananejczyków, wrogów ludu żydowskiego; Prorokini Debora, która prowadziła do boju lud Boży; cnotliwa Anna, matka Samuela; roztropna Abigail, która obroniła dom swój od gniewu króla Dawida; piękna Abizai, dochowująca kwiat niewinności w małżeństwie; bohaterska Judyta, która ocaliła lud swój od zguby; świętobliwa Estera, która również naród swój od wytepienia ocaliła, — i mnóstwo innych, dla których cnót Pismo Święte przekazało nam cześć i uwielbienie, a które jednak wszystkie niezrównanie przewyższyła Marya Jezusowa.

Proroctwa, dotyczące Przenajświętszej Dziewicy, ciągną się przez wszystkie wieki nieprzerwanie, pierwsze zaś z ust samego Boga wyszło. Po upadku bowiem pierwszych naszych rodziców w raju ziemskim, Stwórca, przemawiając do złego ducha, który ich do grzechu przywiódł i w niewolę swoją, wraz z całym ich potomstwem podbił, zapowiedział przyjście Maryi temi słowy: „Rzekł Pan do węża (którego postać zły duch wówczas przybrał): — Położę nieprzyjaźń między tobą a niewiastą. Ona zetrze głowę twoją“. Zaraz tedy po skazaniu całego rodu ludzkiego na ciężką lecz słuszną karę, Bóg zapowiada światu Maryę, a z Nią od tej kary wyzwolenie. Następnie zapowiada Ją: Abrahamowi, Izzaakowi, Jakubowi, Dawidowi, przywódzcom ludu wybranego; obiecuje, że z ich pokolenia wyjdzie Odkupiciel; że jedna z ich córek będzie szczęśliwą Dziewicą, wybraną na Matkę Jego. O Niej to mówi Izajasz, przedstawiając Ją, jako „latorośl“, na której zakwitnie „kwiat“ najpiękniejszy z rodzaju ludzkiego, to jest — Zbawiciel: „I wynijdzie różdżka z korzenia Jessego, a kwiat z korzenia jego wyrośnie“, na innem miejscu jeszcze wyraźniej o Niej wspomina: „Oto Dziewica poczne i porodzi Syna i nazwą imię Jego Emmanuel, co znaczy—Bóg z nami“. A później prorok Jeremiasz zapowiada największy cud, jaki się zjawi na ziemi, gdy Syn Boży, wybierając Sobie Dziewicę za Matkę, za sprawą Ducha Świętego, stanie się człowiekiem w Jej łonie: „Pan stworzy nowość na ziemi: niewiasta posiadzie w sobie mężczyznę“, to jest poczne Dziecię, które już w łonie matki obdarzone całą doskonałością dojrzałego człowieka.

Przypatrzmyż się teraz najbliższemu otoczeniu Maryi, przed powołaniem Jej na Bogarodnicę i jak wówczas lata swoje spędzała.

Oto przed nami Oblubieniec Józef. Ś-ty Bonawentura tak o nim pisze: „Ten Józef był obywatel betleemski, syn Jakubów, świętych obyczajów i świętego żywota; ten był skromny, prawdziwy, pełen Boskiej



mądrości, czystość cielesną i niewinność serca chowający; Bogu i ludziom był miły, bo był w słowie prawdziwy, wierny i bezpieczny. w żywocie swoim i w uczynku był prosty, dobry, mierny, cichy a bardzo roztropny; z każdym się łaskawie rozmawiał, każdemu łaskę okazał, ciesielstwem się bardzo mądrze, roztropnie obchodził i żywił, z swej wiernej roboty ubogim, pielgrzymom i każdemu, kto go przez miłość Boga prosił, jałmużnę dawał, bo był pełen gorącego miłosierdzia; często Bogu Wszechmocnemu służbę czynił swemi nabożnemi modlitwami, postem, czuwaniem dręczył ciało. Przykazanie Mojżeszowe rad chował, myślą, sercem i duszą Boga Wszechmocnego miłował; ku swemu bliźniemu zawsze miłosierdzie miał. Był czystego ciała, bo wszystką rozkosz cielesną od siebie odrzucił; był też czystej duszy, dostojnych obyczajów, człowieka żadnego nie potępiał ani ubogim nie gardził: ubogiego i bogatego jednako miłował. Przez to Bóg uczynił, iż go wybrał opiekunem Sobie i Swej miłej Matki“.

Pochodził Józef z pokolenia Judy, z rodu królewskiego, który pannaował w krainie żydowskiej od Dawida, aż do niewoli babilońskiej Żydów, to jest do czasu, w którym naród żydowski królów swoich postradał. Był synem rodzonym Jakuba; na mocy zaś praw żydowskich, był przysposobionym spadkobiercą stryja swego, Helego, zmarłego bezdzietnie. Zbawiciel miał się urodzić i życie całe spędzić w ubóstwie; Józef tedy, który został wybrany na Jego piastuna i opiekuna, nie mógł opływać w dostatki. Natomiast od lat najmłodszych coraz bogatszym się stawał w Łaski Niebieskie, jako ten, który po Maryi miał być najbliższym Boskiej Osoby Jezusa i po Niej najwięcej uczestniczyć w sprawie odkupienia ludzi. Pochodzenie zatem królewskie nie ochroniło go od ciężkiej pracy; pracował jako prosty rzemieślnik, jako cieśla, lecz w tym skromnym, pospolitym stanie, jakże był miłym Bogu, gdy duszę jego zdobiły dary i łaski, które go największym po Bogarodzicy świętym uczyniły! Już w młodych latach czystość ślubował, a rychło doszedł do tego wysokiego stopnia świętobliwości, że go Ewangelia nazywa „sprawiedliwym“.

Obowiązek, jakim został zaszczycony Józef — czytamy w dziele Ludwika Veuillota — i sposób, w jaki on ten obowiązek spełnił, wyjaśniają nam, co Ewangelista rozumiał, nazywając go „sprawiedliwym“. Otrzymał on od Boga czułość, czujność i powagę męża i ojca względem Jezusa i Maryi. Podobnie jak Marya, jest on synem Dawida, jest dziewiczym, jak Ona, pełnym roztropności i odwagi. Podobny jest do Patryarchy Józefa, ale przewyższa go tak doskonałością swoich zasług, jak i charakterem swego posłannictwa; jest nie tylko nauczonym, lecz natchnionym i kierowanym przez Boga. Józef, syn Jakuba, Patryarcha, zachowuje zboże konieczne dla niego i dla ludu: Józef, małżonek Ma-

ryi, otrzymuje Chleb Żywy dla siebie i dla całego rodu ludzkiego. Jemu powiedział Bóg: „Weź, Dziecię!” — Józef jest wzorem Apostołów, którzy poniosą Chrystusa na świat cały.

Tak się również wyrażają o Józefie święci pisarze kościelni: Jan Damasceński, Hilary Piktawski, Bernard. Jeden z wielkich sług Bożych powiada jeszcze: Gdy Józef zbliża się po Maryi, ażeby uczcić Jezusa w żłobku, to cień Ojca Wiekuistego zatrzymuje się nad Dziecięciem. Bo Józef wobec Jezusa zastępuje widzialnie Ojca Wiekuistego. Dusza ludzka Jezusa patrzyła na niego nie tylko z najtkliwszą miłością, ale jeszcze z głębokiem uszanowaniem i niewypowiedzianą uległością. I dlatego to, względem pokornego i cichego Józefa, z powodu owego cienia tożsamości z Ojcem, zdejmuje nas przedewszystkiem uczucie uszanowania. Jego świętości opisać nie możemy, ponieważ, co do tego, brak nam porównania. Świętość ta nie tylko jest wyższą od świętości innych Świętych Pańskich, ale nadto jest ona jeszcze innego rodzaju. Józef jest cichy i łagodny, ubogi i maluczki, uległy i posłuszny, a jednak jest zarazem niezdobytą fortecą, po za którą kryje się honor Maryi i życie Jezusa. Ukryty jak Bóg, pełen Bożego pokoju, sprawiedliwy sprawiedliwością, umiarkowaną miłosierdziem, jak sprawiedliwość Boża, obcuje z Bogiem w czasie snu swego, jak gdyby sen jego był tylko zatopieniem się w miłości Bożej. Pierwszy po Maryi uczył Jezusa, a Dziecię uświęciło go na nowo, wznosząc do wyższego stopnia świętości, aby mógł być najwyższym sługą swego Boga.

Takiego męża Bóg wybrał i przeznaczył na opiekuna Maryi i Jezusa, w jaki zaś sposób wolę Swoją ludziom okazał, o tem będzie niżej, w miejscu właściwem. Tu jeszcze nadmienimy, że Józef, w chwili zaślubienia Maryi, liczył 45 lat wieku, a potem sędziwej starości się doczekał, bo lat 75. Umierał na rękach Jezusa i Maryi — z nieba ziemskiego poszedł na świat tamten czekać, aż mu raj niebieski otworzy Ten właśnie, którego sam wypłastował. Marya d' Agredo w objawieniach swoich utrzymuje, że bardzo długo przed śmiercią chorował i że cały dzień przed skonaniem był w zachwyceniu, gdyż śmierć jego nastąpiła nie tyle z upadku sił żywotnych, ile z niezmiernej miłości Boga, która go jakby spaliła. Wielu Ojców Kościoła mniema, że gdy przy śmierci Pana Jezusa znaczna liczba zmarłych z grobu powstała, znajdował się pomiędzy nimi także Józef i po Wniebowstąpieniu Pańskim został z ciałem i duszą wzięty do nieba.

Z innych osób, najbliższych Maryi, wymienić należy jeszcze Jej świętych rodziców: Joachima i Annę. Ś-ty Joachim urodził się w Galilei, z pokolenia Judy, więc królów Dawida i Salomona pomiędzy przodkami swoimi liczył, a także wielu Proroków. Pisarz kościelny tak jego rodowód wyprowadza: Z pokolenia Dawidowego — Lewi zrodził Mel-



chiego i Pantera, Panter zrodził Barpantera, a Barpanter — Joachima. Wychowany został w domu rodziców najpobożniej, wszyscy o nim mówią, że był to mąż wysokiej świętobliwości, słynący z najwierniejszego zachowania praw starego zakonu. Kiedy doszedł lat, zgodnie z prawami rzeczonymi, wybrał ze swego pokolenia dziewicę również nadzwyczaj świętobliwą i z nią zawarł małżeństwo. Nie trzeba mówić, że błogosławieni ci małżonkowie prowadzili żywot Bogu i ludziom miły. Posiadali wielkie dostatki w trzodach (co stanowiło także i w wiekach poprzednich zamożność Patryarchów: Abrahama, Izaaka, Jakuba oraz innych) lecz z dostatków tych Joachim taki czynił użytek: Wszystkie dochody podzielił na 3 części, z nich jedną oddawał świątyni w Jerozolimie, na utrzymanie przy niej kapłanów i na obrzędy religijne; drugą ubogim; trzecią na utrzymanie swoje i małżonki. Ćwicząc się ustawicznie w pobożności, wszystkie dni uroczyste, całe prawie, w świątyni przepędzał, a dla tem gruntowniejszego ich uświęcenia, dobre uczynki podwajał, to jest dwa razy więcej niż zwykle przynosił w ofierze do świątyni i dwa razy większe czynił jałmużny. Taki rodzaj życia w jednych budził dla niego szczególnie szacunek; w drugich — jak to zwykle bywa — budził uczucia zawistne.

Co do Ś-tej Anny, przyszła ona na świat mniej więcej na 70 lat przed narodzeniem Pana Jezusa. Ojciec jej należał do pokolenia Lewi, pochodził z rodziny wielkiego kapłana Aarona, nazywał się Mathan; matka, z pokolenia Judy, miała imię Marya Emerencyanna. Doczekało się to stadło, możne, wielkiej zacności, przyświecające przykładami cnót wszelkich, trzech córek: najstarsza, Marya, poślubiła Kleofasa, była matką Ś-tych Jakuba, Szymona i Judy, Apostołów, których dlatego, że byli ciotecznyimi braćmi Najświętszej Panny, według zwyczaju żydowskiego nazywano braćmi Pana Jezusa, chociaż byli tylko Jego blizkimi krewnymi; druga, Sabe, była matką Ś-tej Elżbiety, więc siostry ciotecznej Bogarodzicy; najmłodszą, Annę, Bóg przeznaczył na matkę Tej, z której narodzić się miał Zbawiciel.

Już w dzieciństwie Anny można było poznać, że Bóg ją od kolebki uposażył temi darami i łaskami, jakie zsyłać raczy na szczególnie przez Siebie wybrane dusze. Więc też stała się największą pociechą rodziców, którzy ją nadzwyczaj miłowali. Skoro z lat dziecinnych wyszła, unikała życia światowego, znaczną część dnia spędzała na modlitwie, najchętniej przebywała w świątyni, rozczytywała się w księgach świętych. Cnoty, jakimi jaśniała w domu rodziców, przeniosła do pożycia małżeńskiego. Nie było też lepiej dobranego stadła, piękniejszego wzoru dla małżonków chrześcijańskich. Równie jak Ś-ty Joachim, Ś-ta Anna była niezwykle pamiętną o chwale Bożej, a ubogich, nawet z odległych okolic, zastać można było zawsze przed jej mieszkaniem.

Słowem życie Ś-tej Anny stanowiło wzór doskonałości niewieściej, jaki nam Pismo Boże wskazuje.

Aliści świętobliwe to stadło małżeńskie, zanim dostąpiło tak nadzwyczajnego wyróżnienia z pomiędzy wszystkich istot ludzkich, że zostało wybrane na rodziców Matki Zbawiciela świata, musiało przejść ciężką próbę. Jużemy zaznaczyli wyżej, że naród żydowski, z którego, wedle zapowiedzi Boga, miał wyjść Mesjasz, z wielką pogardą patrzył na małżonków bezdzietnych, jako na pozbawionych łaski Bożej, wyłączonych od zaszczytu posiadania w rodzie swoim Mesyasza. Joachim i Anna właśnie długo byli bezdzietni. Trapili się oni tem bardzo, lecz znosili dopuszczenie Boże z największą pokorą, chociaż z każdym rokiem coraz bardziej tracili nadzieję pozyskania dziecięcia. Wreszcie nadzieja ta znikła zupełnie. Żyli ze sobą już lat pięćdziesiąt, a każde z nich liczyło około siedemdziesięciu wiosen. W takim wieku dzietność jest niepodobieństwem. Była to zatem próba bardzo dotkliwa, którą wszakże znosili z należnem poddaniem się, z pokorą, cierpliwie, słowem — zwycięsko. Lecz Bóg, utrzymując świętobliwych małżonków w bezdzietności, miał cel inny jeszcze. Chciał — powiada Ojciec Prokop, w pięknie skreślonym przez siebie „Żywocie Matki Bożej“ — aby Ta, która cudem nad cudami miała obdarzyć świat Zbawicielem, sama także jakby nie bez cudu przyszła na ten świat, z małżonków prawie już zgrzybiałych. Oprócz tego, ponieważ w zwykłym nawet biegu rzeczy wszelkie dobrodziejstwa nie zlewa na nas Bóg inaczej, jak wskutek modlitw naszych, chciał tedy, aby to nadzwyczajne dobrodziejstwo, jakiego mieli dostąpić Joachim i Anna, spłynęło na nich nie inaczej, jeno po gorących, wytrwałych modlitwach. Do tego w ten sposób pobudzić ich raczył:

Był zwyczaj u Żydów, że w dni uroczyste sami składali w świątyni, na ołtarzu, ofiary, każdy wedle możliwości swojej. Joachim, mąż wieku sędziwego, możny, wielce przez wszystkich poważany, a przytem zawsze dla chwały Bożej hojny, zwykle pierwszy ofiarę przynosił i składał. Razu pewnego zdarzyło się, że gdy świątynia była pełna pobożnych, a Joachim pierwszy ku ołtarzowi się zbliżył, kapłan, nazwiskiem Izahar, powodowany jakąś ku niemu niechęcią, odepchnął go, przydając jeszcze obelżywe słowa:

— Odejdź stąd, starcze! Nie godzi się bowiem, żeby pierwsze w świątyni zajmował miejsce ten, na którego pożyciu małżeńskim cięży sromota bezdzietności. Z tego powodu tyś tu ostatni!

Słowa te spadły na Joachima niby grom z pogodnego nieba. Struchlał, wstyd go zdjął, lecz usunął się od ołtarza spokojnie, szanując miejsce święte i dostojeństwo kapłańskie. Zniósł obelgę cierpliwie i stanawszy w głębi, jak zwykle w modlitwie żarliwej się zatopił.

(D. c. n.)

## CZEŚĆ BOGARODZICY

### w pismach Ojców Świętych.

---

Tajemnica wcielenia, pojęcie o osobie Jezusa Chrystusa, zamyka się w orzeczeniu: Bóg-Człowiek. Wszystko, co się odnosi do Najświętszej Maryi Panny, zawiera się w tem słowie: Dziewica-Matka. Dwa te określenia, dwa te oznaczenia są nierozłączne, niema jednego bez drugiego. Bez Dziewicy-Matki nie można pojąć Boga-Człowieka; bez Boga-Człowieka, nie moglibyśmy mieć pojęcia o Bogu samym.

Każdy, kto nastaje na Jezusa Chrystusa, występuje przeciw Bogu; kto nastaje na Dziewicę-Matkę — dosięga Jezusa Chrystusa — a tem samem i Boga. I zawsze, kto trzyma z Dziewicą-Matką, służy Jezusowi Chrystusowi, służy Bogu.

Kościół, w ciągu czterech pierwszych wieków, przez swoich nauczycieli, doktorów, przez orzeczenia koncyliów, starał się podać wier-nym prawdziwe pojęcie o osobie Jezusa Chrystusa, który jest równie prawdziwym Bogiem, jako i prawdziwym człowiekiem. Jezus Chrystus, to Bóg-Człowiek; dwie natury rzeczywiste i oddzielne, natura boska i ludzka w jedności osoby boskiej.

W Nicei i w Konstantynopolu stwierdzono boskość Jezusa Chry-stusa, jako Syna Bożego odwiecznie i współistotnie zrodzonego z Ojca. W Efezie, orzeczono jedność i bóstwo Osoby; wreszcie w Chalcedonie różność i rzeczywistość dwóch natur Boskiej i ludzkiej.

Szczegółowo i dokładnie koncylia owe wyjaśniły i ustaliły naukę Kościoła, słusznie też Ś-ty Grzegorz Wielki orzeczenia te dogmatyczne przyrównywa do czterech Ewangelij, ponieważ zawierają całą Ewangelię, czyli to wszystko, co tam powiedziano o Osobie Jezusa Chrystusa.

Zasługuje na uwagę i ta okoliczność, że Ojcowie, zasiadający na wspomnianych koncyliach, razem z innymi współczesnymi doktorami



Kościół, prawdziwe i dokładne pojęcie o Jezusie Chrystusie, jednoznacznie łączą z prawdziwym i dokładnym pojęciem o macierzyństwie boskiem Najświętszej Panny. Głoszą i nauczają, że Marya jest prawdziwie i istotnie Matką Boga — i tym sposobem dowodzą człowieczeństwa i bóstwa Jezusa Chrystusa w jednej osobie boskiej. Jezus Chrystus jest człowiekiem, ponieważ Marya jest Jego matką: jest Bogiem, Marya więc jest Matką Bożą — jest Człowiekiem-Bogiem, ponieważ Marya jest Dziewicą Matką. Bóg i człowiek rzeczywiście i istotnie, dwie natury — jedna osoba, gdyż inaczej Marya byłaby tylko matką człowieka — jedność osoby daje Jej miano Matki Bożej. Marya jest Matką Bożą, chociaż nie miała żadnego udziału w zrodzeniu odwiecznym natury boskiej, — jest matką człowieka, gdyż za Jej udziałem Słowo Ciałem się stało.

Jako dusza i ciało stanowią człowieka, tak Bóg-Człowiek, to Jezus Chrystus.

Oto w jaki sposób boskie macierzyństwo Maryi łączy się z tajemnicą wcielenia i objaśnia pojęcie odnoszące się do osoby Jezusa Chrystusa, prawdziwego Boga i prawdziwego człowieka. — Oto jaką naukę Kościół i Ojcowie Kościoła przeciwstawiają różnym herezyom, które nastawały na osobę Jezusa Chrystusa, bądź jako Boga, bądź jako człowieka, albo Człowieka-Boga.

Powtórzyć więc możemy, że Marya sama, wszystkie po wszystkim świecie herezye zgładziła.

W kilku tych słowach streszcza się historia czci oddawanej Maryi, w ciągu czterech lub pięciu pierwszych wieków, rozważanej z punktu dogmatycznego, jak o tem przekonać się możemy z pism Ojców Świętych.

W pierwszych trzech wiekach, przed nawróceniem pogan, utrzymuje się ona świadomością w pośród wiernych. Przyczynę tego łatwo odgadnąć. — Chrześcijanom bowiem świeżo z pogaństwa nawróconym, nawykłym do wielbienia różnych bogiń, byłoby nieroztropnem zalecać cześć Matki Bożej. Cześć ta, zamiast ich podnieść i przywieść do Chrystusa, do Boga — mogła cofać ku bałwochwalstwu, z którem dopiero co wzięli rozbrat. Nie byli oni jeszcze w stanie pojąć wzniosłej tajemnicy. W Matce Boskiej i Boskiem Dziecięciu mogli byli doszukać jakiejś tożsamości lub podobieństwa z bóstwami, których kazano im się wyrzec.

Chrystus Pan z krzyża miał wszystkich pociągnąć za sobą; opowiadanie Ewangelii obracało się około męki Boga-Człowieka, który stał się pośmiewiskiem i urąganiem, a jednak miał zwyciężyć fałszywą mądrość pogan i pychę Żydów.

Obok, albo raczej oprócz czci, oddawanej Maryi na zasadzie Jej macierzyństwa, które nie ulegało najwyższemu zarzutowi, rozwijała się cześć wielbiąca Osobę Maryi:—szukano Jej przyczyny, wstawiennictwa, czyniono to w cichości—w podziemiach czyli katakumbach. Tam to cześć ta zapuszczała korzenie, dopóki krew męczenników nie stała się nasieniem chrześcijan; wystawieni na prześladowania, mogli jedynie z imieniem Jezusa i Maryi na ustach umierać.

Nastąpiła wreszcie doba, iż chrześcijanom wolno było jawnie i głośno Maryę wychwalać — hymny i pieśni na Jej cześć układać — ołtarze i kościoły pod Jej imieniem wznosić i poświęcać.

Jeszcze za czasów Apostolskich—w pierwszych początkach chrześcijaństwa — znaleźli się heretycy, znani pod imieniem Docetów i Ebionistów. Pierwsi zaprzeczali człowieczeństwa Jezusa Chrystusa, drudzy nie przyznawali Go być Bogiem.

Śty Jan Ewangelista jednym i drugim daje odprawę, rozpoczynając temi słowy święte pisanie swoje: Napoczątku było Słowo—a Bogiem było Słowo.“ I znowu „Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami“. To znaczy, iż Słowo — Syn Boży nie w złudny sposób—nie pozornie—nie jakoby szatę zwierzchnią, przyjął nasze ciało, ale prawdziwie i mieszkał między nami, jako jeden z nas — tak, iż każdy Go mógł oglądać i dotykać. Wyrażenie Ś-go Jana mógłby był ktoś wziąć zbyt dosłownie, jakoby bóstwo coś na tem ucierpiało — to też jeszcze dodaje: *i widzieliśmy chwałę Jego, chwałę jako jednorodzonego od Ojca pełnego łaski i prawdy* (r. 1, 14).

Ale jakim sposobem Słowo ciałem się stało? Na to pytanie Docetom odpowiada przybrany Syn Maryi w swej księdze objawienia, ukazując heretykom: Niewiastę obleczoną w słońce — niewiastę-Matkę; istotne ciało wziął z Niej Syn, *który miał rządzić wszystkie pogany*. Chrystus to człowiek, tak samo jako i Bóg.

Liczne są zastępy i nazwy herezyarchów — błędy ich zmieniają swą formę — sprawdza się co do słowa przepowiednia Symeona, zawarta w słowach wyrzeczonych przez niego do Najświętszej Maryi Panny: Oto ten położon jest na znak, któremu sprzeciwić się będą (Łuk. 2, 34).

Wszystkie sekty gnostyków, manichejczyków; wszystkie sekty arikańskie, nestoriańskie i eutychanów zaprzeczają boskości Słowa, jedności osoby lub dwoistości natury są następcami Ebionitów i od nich się wywodzą. Dowodząc rzeczywistego i boskiego macierzyństwa Maryi, Ojcowie Kościoła odpierają i zbijają zarzuty tych lub owych herezyków.

Jedni przeważnie dowodzą, że Jezus Chrystus prawdziwie jest ciałem — gdyż poczęty w łonie Maryi—narodził się—żył i cierpiał.



Drudzy, opierając się na rzeczywistym człowieczeństwie Chrystusa, starają się wywieść Jego boskość z tego, iż się narodził z Dziewicy Maryi.

Wielu broni Jezusa Chrystusa, jako Człowieka-Boga i opowiada godność Maryi, jako Dziewicy-Matki.

Wielbiąc państwo i macierzyństwo Maryi—przedstawiają w całym świetle Jej wielkość — wysokie przywileje—ważny udział w sprawie Odkupienia — już to w jego początkach — w dokonaniu i dalszym rozwinięciu. Czynią porównanie pomiędzy matką rodzaju ludzkiego, Ewą i Maryą i wołają, iż co tamta zepsowała, to ta naprawiła. Maryę nazywają Obronicielką Ewy, przyczyną naszego odkupienia — odrodzenia na życie nowe.

Ta część Maryi podtrzymuje nasze nowe życie, wyższe, doskonalsze — gdyż zachęca nas i pobudza do troski o zbawienie, a ono przecież odpowiada zamiarom Boga. Życie to nowe niczem innem nie jest, tylko jednoczeniem się z Bogiem. Wcielenie jest z jednoczenia z Bogiem początkiem, — podtrzymuje takowe Komunia Eucharystyczna, a dokonywa się wytworzeniem coraz liczniejszego zastępu wiernych — tego mistycznego ciała Chrystusowego.

Marya, mając czynny udział w dziele Odkupienia — strzeże jego skutków i następstw. Matka głowy jest i członków matką, które pielęgnuje i karmi w społeczności Kościoła, zostając tegoż Kościoła najżywotniejszym członkiem. Jest czemś więcej: Matką i Dziewicą zarazem szczególnym przywilejem jednoczy się z Bogiem; z mocy tego przywileju czyni z nas przybrane dziatki Boże — braci swego Synaczka. Życie boskie — światło i łaska, prawda i cnota — z dwójakiego stanowiska spływa na nas.

Ś-ty Grzegorz Nyssenński i Ś-ty Bazyli opowiadają nam, że kiedy Ś-ty Grzegorz, Biskup Neocezarei, zwany Cudotwórcą, rozważał tajemnicę Trójcy Przenajświętszej, ukazał mu się Ś-ty Jan Apostół w postaci starca i wskazał na Niewiastę cudnej postaci. Była nią Marya Panna; — wtedy na rozkaz Maryi, Apostół objaśnił biskupowi tajemnicę i podyktował mu formułę określającą prawdziwe tajemnicy znaczenie. Autograf i objaśnienie spisane, podług tego widzenia, przechowywały się w Neocezarei, jako droga pamiątka.

Trzeba wiedzieć, iż w rzeczy samej Ś-ty Grzegorz ułożył wyznanie wiary, które w trzysta lat później, czytane było na piątym koncylium powszechnym w Konstantynopolu, przeciwko heretykom zaprzeczającym pochodzenia Ducha Ś-go.

Widzimy z powyższego podania, jakie znaczenie przyznawano Najświętszej Pannie odnośnie do nauczania prawd wiary.

Nieco później—młoda dziewczeczka, imieniem Justyna, napastowana przez niejakiego Cypryana—i wszelkimi sposobami od niego kuszona, uciekła się do obrony Najświętszej Maryi Panny, która zjednała jej pomoc swego Niebieskiego Oblubieńca i przy tej pomocy wysłużyła sobie koronę męczenniczką.

Marya była uważana w te czasy za wzór cnoty, równie jak i Opiekunkę wiernych; mamy tego dowód w piśmie Ś-go Cypryana, biskupa Kartageny do męczenników \*). Przypomniawszy prorocтво Izajasza, ty-czące się Najświętszej Maryi Panny, dodaje: „Jest ona tarczą naszej wiary, nie tylko przeciwko heretykom, ale przeciwko wszelkim poru-szeniom złych namiętności“. Podobnie wyraża się Ś-ty Archelausz, uczeń Brygenesa, występujący przeciwko Manesowi. Po wypowiedze-niu wszystkich dowodów w obronie boskiego macierzyństwa, tak koń-czy: „Jako całe prawo i Prorocy zamykają się w jednym prawie miło-ści Boga i bliźniego, tak cała nasza nadzieja opiera się na poczęciu i zrodzeniu Boskiego Dzieciątka przez Maryę-Dziewicę“.

Po nawróceniu się świata, cześć Maryi, chociaż nie straciła dogma-tycznej cechy — objawiała się jednak więcej w uwielbieniach i modli- twach wiernych.

W czwartym wieku Ś-ty Epifaniusz, nazwany młotem heretyków, Ś-ty Atanazy i Grzegorz Nazyanzeński obrońcy wiary Nicejskiej—obro-nę prawdy chrześcijańskiej opierali na panińskim macierzyństwie i bro-nili takowego z całą przekonywającą siłą — wyrażając się, iż „przez Maryę poznaliśmy Syna Bożego“ — są to słowa Ś-go Epifaniasza. Ś-ty Atanazy stara się okazać, że Chrystus jest Synem Ojca w niebie — Synem Matki na ziemi, w sposób współistotny i że nie mamy Boga za Ojca inaczej, jak tylko dlatego, że Syn Boży jest także Synem Naj-świętszej Maryi Panny i z tego wyprowadza konkluzję: bez Maryi nie-ma dla nas Ojca i Syna, Ojca w niebiesiech — Boga Syna na ziemi.

Myśl tę odnajdujemy w sławnych słowach Ś-go Grzegorza Nazyan-zeńskiego, powtarzanych na concylium w Efezie — są one odgłosem całej starożytności; kto nie wyznaje, że Marya Panna jest prawdziwie Matką Bożą — ten zapiera się Boga. Kto mówi, że Chrystus zstąpił do nas, nie stawszy się w Maryi w sposób boski i ludzki człowiekiem— równie jest bezbożnikiem.

Wszyscy Ojcowie, z wieku złotego wymowy chrześcijańskiej, bro-nią Syna, ujmując się za Matką, której panińskie macierzyństwo i wiel-ka godność okupują wszystkie zniewagi, poniżenia; bronią Matkę przy pomocy Syna, który prawdziwie pojmowany zapewnia Maryi Jej najza-szczytniejszy tytuł Matki Bożej.

---

\*) Exhortatio ad Martyres.

Zawsze jeszcze cześć Maryi na gruncie dogmatycznym przeważa.

Z pism Ś-go Efrema wyjęte mamy najczulsze wezwania i antyfony. Tenże Święty zostawił trzy mowy poświęcone wychwalaniu Maryi, — dwanaście modlitw pod Jej wezwaniem. Marya, to nasza Pośredniczka wobec Zbawiciela, w tenże sam sposób, jako Jezus Chrystus jest naszym obrońcą przed Bogiem.

I Ś-ty Augustyn tegoż samego uczy. Często mówi o Matce żyjących, ponieważ Marya jest Matką Dawcy życia, o Maryi Matce wszystkich należących do Kościoła Chrystusowego, gdyż przez miłość przyczynia się do naszego odrodzenia duchowego.

Na tej podstawie, jakby na mocnym fundamencie — oparte są wszystkie uwielbienia jakie Kościół składa w hołdzie Najświętszej Maryi Pannie. — Wzór do takowych odnajdujemy w orzeczeniach trzeciego koncylium powszechnego, złożonego w Efezie. (D. c. n.)

*ks. Wł. Fudalewski.*



# O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa

przełożył wierszem

ksiądz Alfons Trepkowski.

## K S I Ę G A I.

### ROZDZIAŁ VI.

#### O złych skłonnościach.

1. Ileć w człeku żądze rozniecają  
Grzechowe iskry, jako huragany,  
Gdy mocą wichrów posady wzruszają,  
Wnet niepokojem duch wtedy szarpany.  
Chciwiec z pyszałkiem nie są nigdy syci;  
Pokorny z biednym odziedziczą ziemię,  
A w nimby chwały niebiańskiej spowici,  
Szczęście przekażą na najdalsze plemię.  
(psalm XXXVI - II). Kto samolubnej jaźni nie uśmierca,  
Często pokusą bywa nawiedzany;  
W duchowej walce słaby-to szermierca,  
Łada błahostką do cna zwyciężany.  
Czyje podstawy życia wewnętrznego  
Jeszcze zbyt słabe, ciałem przygniecione,  
Kto — pod urokiem szau zmysłowego,  
Temu skłonności stłumić i obronę



- Znaleźć w ucieczce jest rzecz ponad siły,  
Albowiem wówczas smutek nim owłada,  
Iż zrywa z grzechy, co rozkosz budziły;  
Z przeszkód ku cnocie cieszy się, nie biada.
2. I skoro złemi skłonnościami pchany,  
Cel ich posiadzie, żądze zaspokoi,  
Ach! wtedy, również, troskami sterany:  
Wyrzut sumienie rani, nie zaś goi.  
Namiętność zwykle, gdy spotęgowana,  
Przepaści duszę w objęciach szatana.  
Więc nie służalczość, ale opór trwały  
Złym namiętnościom w sercu pokój wzmoże;  
Ujarzmi zmysły, wzgardzi świata szalą  
I w takim człeku jest Królestwo Boże!—

## ROZDZIAŁ VII.

### O unikaniu zbytniej ufności i przeceniania siebie.

1. Kto zbyt ufa ludziom lub stworzeniom,  
Płochego miano zawsze nosić będzie;  
Z miłości Chrysta bliźniego cierpieniom  
Nie wstydź się ulżyć, — zmaleć w ludzi rzędzie.  
Własne twe siły zawiodą, więc Boże  
Niechaj wspierają wszelkie dobre chęci!  
Rozum skażony w błąd wprowadzić może,  
I na manowce rada ludzka skręci.  
Ufać chciej Panu, który daje łaski,—  
Pysznych w proch miazdzy,—kornym śle cnót blaski.
2. Jeżeliś możny, chepliwość z majątku,  
Z grona przyjaciół ustosunkowanych,  
By nie plamiła myśli w jej zaczątku,  
Składaj hołd Stwórcy z darów posiadanych,  
Który w szczodrocie swej jest Niezmierzony,—  
Wszystkim wskazuje Boskości swej trony.

Kształty wspaniałe, ani piękność lica  
Niech cię nie cieszą, bo lada choroba  
Blizka jest szpetnej brzydoty siostrzyca.—  
A pyszny umysł również nie ozdoba:  
Obmierźnie Panu, kto rąk Jego płody  
Tworami swojej mieni być przyrody.

3. Wobec twych bliźnich nie przeceniaj siebie,  
Byś z wyżyn własnej miłości, pył hardy,  
W mig stracon nie był; by Ten, co jest w Niebie,  
Nie wydał sądu, żeś płaż godzien wzgardy!  
Probierz w ocenie wszystkich naszych czynów  
Różni się wielce z wyrokami Boga:  
Co godne pochwał w oczach ziemi synów,  
To piekłem trąci, a przyszłość — złowroga.  
Skoro masz w sobie jaki odbłysek cnoty,  
By w równowadze utrzymać pokorę,  
Wiedz, iż wśród ludzi lśnią święte przymioty,  
Silniejsze blaskiem i liczebnie spore.  
Nic ci nie szkodzi, gdyś skarłał przed wielu,  
Lecz dużoś stracił, gdy gardzisz choć jednym;  
Pokorny zawsze trwa w błogiem weselu,  
Pyszny jest gniewnym i przez zazdrość biednym.

D. c. n.



# Dom Boży a lud Boży

przez

ks. Antoniego Brykczyńskiego.

8.

## Odnawianie kościoła i kaplic.

Jeżeli trudno jest wystawić dobry kościół nowy, to stokroć trudniej stary odnowić, a przeciwnie, nadzwyczaj łatwo odnawianiem zepsuć.

Jeżeli więc jest potrzeba konieczna naprawiania ścian, należy przede wszystkim zasięgnąć opinii *dobrego* majstra mularskiego, któremu by więcej chodziło o opinię, niż o zarobienie paru rubli.

Kościół murowany z kamienia niechaj naprawia zdolny kamieniarz, a ceglany dobry mularz.

Przedewszystkiem trzeba się dokopać pierwotnego poziomu koło ścian, bo w starych kościołach, poziom ziemi koło murów jest zawsze podniesiony.

Czynić to należy nadzwyczaj ostrożnie, aby murów nie psuć i nie rysować, bo cegła w ziemi jest zmurszała i wszystkie kawałki kamienia lub stare cegły, szczególnie modelowane, starannie zebrać i we właściwym miejscu użyć.

Zbadawszy fundamenty, które w starych kościołach bywają często za słabe, lub zepsute, przede wszystkim takowe polnymi granitami doskonale wzmocnić.

Do naprawiania kościołów kamiennych używać łomów z tychże kołpalni, albo lepszych, a nigdy gorszych; — do ceglanych cegły tychże

rozmiarów i gatunku co stara. Przy tej sposobności dobrze jest dać nowy cokół, gdyż jak mówiłem, stary bywa zazwyczaj zakryty. W starych murach spotykamy pozostawiane umyślnie otwory do zakładania rusztowania — przeto takowych, pod pozorem upiększenia ścian, nie należy niszczyć i znosić.

Tam jednak, gdzie popróchniały pojedyncze cegły, gdzie powylaływapno ze stosug, — naprawa jest konieczną. Zbadać to najprzód należy, czy nie zacieka z dachu i tę przyczynę złego usunąć. Następnie cegły nadpruchniałe ostrożnie wyrębywać, takiejże wielkości nowe wsuwać i wapnem stosugi równo zaprawić.

Jeżeli krajniki są z cegły prasowanej, takowej modelówki należy zawsze w odpowiedniej liczbie przygotować i we właściwe miejsca wstawiać. Jeżeliby zaś w murach były tablice nagrobkowe z rzeźbą przez deszcz zniszczoną, lub cegły duże, czy też kachle z rzeźbionymi scenami, herbami, czy pojedynczymi literami — to takich nader cennych a rzadkich zabytków, ruszać bezwarunkowo nie trzeba. Jedyne tylko, gdyby pojedyncze litery napisu, przez złe naprawianie były pomieszane, to naturalnie trzeba je w porządku właściwym ułożyć, poradzwszy się specjalnego znawcy łaciny średniowiecznej, dla zrozumienia skróceń tekstu łacińskiego napisu.

Rzecz prosta, iż przy naprawianiu ścian trzeba także naprawić krajniki, a to najlepiej, wapnem hydraulicznym. Tymczasem u nas, nie wiem dlaczego, tego materiału nie używają wcale, a za to kochają się tylko w cemencie. Na schody cement, do kamieni cement, do cegły cement, do tynku choć aby przymieszać cementu i zawsze cement.

Tymczasem z doświadczenia powiadam, że cement wcale nie jest takim uniwersalnym materiałem budowlanym. Do cegły jest *stanowczo* zły, bo inaczej schnie cement, a inaczej cegła. Dlatego więc schody z cegły pokryte cementem *zawsze* popękają, a cokół, choć to niby w miejscu najwilgotniejszym, odskakuje kawałkami, i cegłę z sobą odrywa. *Tylko* do robót kamiennych cement jest pewnym materiałem, a z cegłą raz na dziesięć razy ledwo się uda i co najgorsza, iż żaden na świecie sumienny budowniczy nie powie, dlaczego tu pęka, a tam nie pęka, i przepisu na robotę cementową nie da, bo go dotąd nie znalaziono.

Tymczasem w Galicyi widziałem bardzo delikatne roboty, jak herby, głowice korynckie i t. d. z wapna hydraulicznego po latach 10 bez śladu zepsucia — a u nas robią takie rzeczy z gipsu, który się kruszy i ptaki go niszczą.

Integralną częścią kościoła *każdego* winny być kaplice, a w ostateczności choćby tylko jedna. Do ubierania Grobu Pana Jezusa, żłóbka, ołtarza wystawienia na Wielki Czwartek, nabożeństwa majowego — naj-



lepiej nadają się kaplice. Jeżeli jest tylko jedna, to winna być pod wezwaniem Matki Boskiej.

Co do stylu, jak to wyżej nadmienilem, w kościołach nowych powinny naturalnie stosować się do całości budowy. Przy starych zaś kościołach romańskich czy gotyckich, kaplice w stylu odrodzenia będące, jeżeli są piękne i duże, winny takowy zachować. Ale stawianie przy kościołach w stylu odrodzenia kaplic nowych gotyckich jest niewłaściwe. Pierwsze bowiem są naturalnym rozwojem stylów architektonicznych — drugie zaś byłyby pretensjonalnem pozowaniem na średniowiecze.

Kaplice, raz jeszcze powtarzam, winny być przynajmniej o jeden stopień podniesione nad posadzkę nawy i od takowej kratą żelazną kuta oddzielone.

Bardzo wiele osób lubi się modlić w ciszy i odosobnieniu — otóż kaplica, to właśnie miejsce dla modlitwy duszy strapionej. — A któż dziś za siebie lub innych strapionym nie jest? — Więc i z tego powodu, raz jeszcze zachęcam do budowania kaplic.

## 9.

### Nagrobki.

Celem przechowania pamięci zmarłych, aby ich żywot był wzorem do naśladowania dla pokoleń następnych, a dusza uzyskała modlitwę wiernych — stawiają się nagrobki.

Bywają one stawiane na cmentarzach grzebalnych lub po kościołach, — a w każdym razie z wiedzą i pozwoleniem rządcy kościoła, któremu poddać należy do zatwierdzenia, zarówno rysunek, jak i napis nagrobka. Do kapłanów bowiem, z urzędu należy nad tem czuwać, aby w rysunku nie było nic niewłaściwego, przeciwnego duchowi religii katolickiej, a napis także był stosowny.

Umieszczanie nagrobków na wiejskich cmentarzach grzebalnych ma tę niedogodność, że one się prędko niszczą, a niema komu ich naprawiać. Własność wiejska bardzo często się zmienia, a gdy rodzina, która nagrobek stawiała w inną stronę się przeniosła, już o swoje groby nie dba, i z tego powodu tak często na wiejskich i małomiasteczkowych cmentarzach, tak wiele przedwcześnie poniszczonych nagrobków się spotyka.

Otóż ponieważ celem pomnika jest przekazanie pamięci zmarłych w najdalsze pokolenia, daleko więc byłoby właściwiej, stawiać takowe

w kościele. Umieszczone pod dachem, przeto zasłonięte od rozkładowego działania zmian powietrznych, daleko dłużej przetrwają, a nawet, gdyby się nieco zepsuły, to zaopiekuje się nimi proboszcz, któremu będzie szło o to, aby nie szpeciły kościoła. Za te pieniądze, któreby kosztował najluchszy nawet nagrobek, w kościele można coś ładnego i trwałego wystawić, a zarazem do ozdobienia tak zazwyczaj nagich i pustych ścian kościołów naszych się przyczynić. Jeżeli nawet we Włoszech, gdzie klimat jest tak łagodny, nagrobki zawsze pod dachem umieszczają, to jest: albo w kościołach, albo w galeryach krytych, jakie na cmentarzach budują, to tem bardziej należy to czynić u nas, gdzie marmur i żelazo tak prędko od mrozu się psuje. Stawiając więc nagrobek w kościele, osiąga się cel podwójny, to jest: przekazuje się pamięć zmarłego w jaknajdalsze pokolenia i przyczynia do ozdoby tak zazwyczaj ubogich kościołów naszych.

Żeby jednak ten cel ostatni osiągnąć, nagrobek powinien być umieszczony w odpowiednim miejscu, po porozumieniu z gospodarzem kościoła, to jest: kapłanem, obranem i mieć odpowiednią formę. Najwłaściwiej więc, według dawnej tradycyi, przedstawić umarłego, leżącego w oczekiwaniu zwartwychwstania wiekuistego z godłami swego urzędu i odpowiednim napisem. Albo dać tablicę, ale zawsze z jakimiś godłami religijnymi lub obrazkiem, jak to w wiekach wiary robiono.

Nakoniec pamiętać należy, iż przekazanie pamięci umarłych dalszym pokoleniom i zjednanie dla nich modlitw można i w inny sposób osiągnąć, to jest: zamiast nagrobków, sprawiając co do kościoła z odpowiednim napisem. Tak np. w Archikatedrze warszawskiej i w kościele Goworowskim, w dyecezyi plockiej, są witraże z patronami osób, których pamięć chciano potomności przekazać; w katedrze Włocławskiej jest ołtarz z napisem pamiątkowym i t. d. Uczy nas wiara, że „jałmużna pokrywa wielość grzechów“; taka więc jałmużna na chwałę Boga zarówno pomocną jest dla dusz zmarłych, na których intencję jest czyniona, jak i dla ofiarodawców, gdy tymczasem jedynym powodem stawiania pomników bywa pycha.

Tak samo jak okno może być sprawiona monstrancya, lub kielich — ornat lub obrus — stosownie do zamożności, zawsze to lepsze, jak nagrobki na cmentarzach, które tak prędko niszczejają, albo tak brzydkie i pospolite, gładkie tablice w murze. A przytem takie przekazanie pamięci zmarłego przyszłym pokoleniom, przyczyniłoby się także do ozdobienia, wzbogacenia kościołów naszych, tak często ubogich.

Podziwiamy nagrobki w kościołach zagranicznych, nieraz i dla ziomków naszych zbudowane, ale czy pomyślimy o tem, aby i u nas

coś podobnego wzniesiono? Wszak nie brak nam artystów w bronzie lub marmurze mogących wykonać dzieła sztuki, a mamy przecież dość ludzi bogatych, których stać na to. Idzie więc tylko o dobrą wolę i o pozbycie się tego nieszczęsnego przesądu, że tylko zagraniczne rzeczy są dobre. W jakiż bowiem sposób sztuka u nas się rozwinie, jeżeli jej nie będą popierać ci, których stać na sprowadzenie rzeczy z zagranicy?

A tak samo jak do ludzi mamy uprzedzenie i do własnych materiałów. Z naszego granitu wypolerowanego robić można krzyże polerowane, niczem co do piękności nie ustępujące marmurowi czarnemu, a daleko od niego trwalsze; można robić śliczne schody, nie mówiąc już o cokółach do domów, które z niego wyłącznie robić należy.

(D. c. n.)



# Dzieje klasztoru Jasnogórskiego,

## KU CZCI I CHWALE BOGARODZICY OPOWIEDZIANE

przez

### Czciciela Maryi.

#### III.

Hołdy monarchów, dostojników świeckich i duchownych, składane przed cudownym obrazem Bogarodzicy. — Ofiarność króla Władysława Jagielly. — Fundacye: Wojciecha Jastrzębca, arcybiskupa gnieźnieńskiego i Zbigniewa Oleśnickiego, kardynała, biskupa krakowskiego. — Ścibor Towaczowski klasztor napada i grabi. — Kazimierz Jagiellończyk na Jasnej-Górze. — Papieże i ich posłowie nie zapominają o cudownym obrazie. — Fundacye królów: Jana Olbrachta, Zygmunta Starego. — Nowe nadania Papieży. — Zygmunt August i Stefan Batory. — Klasztor za panowania Zygmunta III-go. — Zabiegi przeora Mikołaja Królika. — Łaski Papieża Urbana VIII-go. — Piotr Skarga. — Klasztor za panowania króla Władysława IV-go. — Królowa Cecylia Renata. — Francuzi na Jasnej-Górze. — Królowa Marya Ludwika, księżna Gonzaga. — Ostatnia bytność Władysława IV-go w klasztorze.

Przed majestatem Bogarodzicy Jasnogórskiej korzyli się nie tylko małuczy, ale także hołd Jej składali najwyżsi dostojnicy duchowni i świeccy oraz monarchowie. Żaden z królów polskich nie zaniechał tego obowiązku. Szereg hołdów rozpoczyna Władysław Jagiełło.

Król ten nieraz Jasną-Górę odwiedzał. Ciągąc z hufcami zbrojnymi na poskromienie przewrotnych i pysznych Krzyżaków, nie omieszkał przed obrazem cudownym opiece Królowej Niebios się polecić, błagać Jej o pomoc dla oręża swego. On przecież, o czem już nadmieniliśmy, Mszę Ś-tą, za siebie, za małżonki i następców swoich, na Jasnej-Górze wiecznemi czasy fundował; zapewne odwiedził klasztor, kiedy fun-



dacę Opolczyka odnawiał i pomnażał, nadto wiele jeszcze razy. Król ten również kaplicę Bogarodzicy albo sam zbudował, albo też co najmniej w znacznej mierze do jej wzniesienia się przyczynił.

Śladem pobożnego króla, poszedł Wojciech Jastrzębiec, arcybiskup gnieźnieński, który w r. 1432 przywilejem klasztor częstochowski obdarzył, nadto umiłowawszy Paulinów, starał się ich zakon w Polsce rozpowszechniać, ku czemu Ojców Jasnogórskich jako szczepu używał. O tym dobrodziejzu zakonników z Jasnej-Góry godzi się słów kilkoro powiedzieć.

Pochodził on z rodu starodawnego, przodek jego był jednym z dwunastu wojewodów, którzy, za pogańskich jeszcze czasów, po dwakroć krajem rządzili. Inny jego przodek miał wiarę chrześcijańską w obcych krajach przyjąć i do jej przyjęcia Mieczysława I-go skłonić. Herb zaś Jastrzębiec dostał się rodowi temu przy takiej okazji. Z dawien dawna ród ten za godło miał samego tylko jastrzębia; atoli za czasów króla Bolesława Chrobrego, gdy Łysą górę, którą następnie górą Ś-go Krzyża nazwano, poganie jacyś opanowali i na niej, jak w fortecy stojąc bezpiecznie, urągali wojsku polskiemu, słowy:

— Jednego z pomiędzy siebie stawcie, któryby za Chrystusa waszego z jednym z naszych chciał na pojedynek wynijść!

Owóż, słysząc to, rycerz Jastrzębczyk, żarliwością wiary i chwały Boskiej wzruszony, wymyślił nieznane pono wtedy jeszcze, podkowy pod kopyta końskie, podkowami onemi konia podkował, tym sposobem szczęśliwie na Łysą górę się przedarł, z hardym poganinem szczęśliwie pojedynek stoczył, zwyciężył go, pojmał i przed Chrobrego przywiódł. Insi rycerze za przykładem jego poszli, konie ostro podkowawszy, na górę śliską, lodowicą oblaną się dostali, nieprzyjaciela znieśli i zwyciężyli. Na pamiątkę tego zdarzenia, król Chrobry rycerzowi przemyślnemu podkowę z krzyżem do jastrzębia przydał, tak, że odtąd herb Jastrzębiec ma na tarczy, w polu błękitnem, podkowę złotą, końcami prosto ku górze obróconą, w jej środku krzyż, a nad tarczą, na hełmie, nad koroną, Jastrzębia, ze skrzydłami nieco do lotu wzniesionemi, skierowanego w prawą stronę tarczy, mającego dzwonki przy szponach i trzymającego w prawym szponie również podkowę, z krzyżem w środku.

Z takiego oto rodu pochodził Wojciech Jastrzębiec, arcybiskup gnieźnieński, dobrodziej Paulinów, urodzony we wsi Łubnicy, z ojca Dersława i matki Krystyny.

Dersław Jastrzębiec miał liczne potomstwo, a fortunę szczupłą. Oddając Wojciecha na naukę, do szkoły przy farze bensowskiej, tak do niego przemówił:

— „Oddaję cię, synu mój, nie w komput (poczet) żaków, ale w komput biskupów, ty zaś pamiętaj, żebyś, biskupem zostawszy, o swoim

teraźniejszym stanie nie zapominał, w którym i mnie, i matkę, braci i siostry swoje widzisz położonych. Niedostatek ten, w którymś się urodził, większy jest, niżeli żeby ci i przy najobszerniejszej fortunie mógł wyjść z pamięci. Zostawszy zaś biskupem, mnie żebyś to wyświadczył i kościół na tem miejscu wymurował, gdzie cię do szkół oddają.“

Jakoż Wojciech, po stopniach idąc, kapłanem zostawszy, wkrótce ze scholastyka krakowskiego i proboszcza poznańskiego infulatą godność osiągnął, a otrzymawszy ją, zaraz w Bensowie, na miejscu drewnianego, murowany kościół w r. 1407 wybudował, potem przy nim Ojców Paulinów, z Jasnej-Góry sprowadzonych osadził, nadawszy im wsi: Bensową, Bensówkę, Bydłową i Bystronowice. Prócz tego wybudował w Warszawie kolegiatę, osadził przy katedrze poznańskiej Mansyona-rzów. Zostawszy biskupem krakowskim, wybudował kościoły farne: w Wysokim, w ziemi lubelskiej, i w Korytnicy, w Sandomierskiem, ołtarzowi Śtej Agnieszki, w katedrze krakowskiej, dziesięciny naznaczył. Objąwszy w r. 1423 arcybiskupstwo gnieźnieńskie, dwie prebendy (dobra kościelne, udzielone duchownym do używania) w Gnieźnie fundował, a w Kaliszu trzecią, w Łęczycy ołtarze postawił, do Kłodawy Kanoników Regularnych przywrócił i kościół ich w kolegiatę zmienił. O Ojcach Paulinach do śmierci nie zapominał. Zmarł w r. 1436 ten, jak go dawni pisarze, Długosz Damalewski i Starowolski, nazywają: „maż poważny, rozsądny i wielki ojczyzny miłośnik“.

Słynny w dziejach naszych Zbigniew Oleśnicki, kardynał i biskup krakowski, również Jasną-Górę odwiedzał i dla Ojców Paulinów serdeczne okazywał uczucia. W r. 1442 nowym przywilejem ich obdarzył, z którego okazuje się dowodnie pierwotny tytuł kościoła Jasnogórskiego, a mianowicie: Narodzenia Najświętszej Maryi Panny i Ś-go Krzyża. Dostojnik ten podziwiał świętobliwość i żarliwą pracę Ojców Paulinów, z tego powodu, starał się, podobnie jak Wojciech Jastrzębiec, popierać ich i rozpowszechniać. Sprowadził ich do Pińczowa i tam osadziwszy, sownie wyposażył. Dobrodziejstwa jego dla klasztorów i niepożyte, wielkopomne zasługi dla ojczyzny wymagają, aby mu w dziejach Jasnej-Góry chociaż trocha. miejsca poświęcić. Dług ten spełniamy skwapliwie.

Otóż, ród Oleśnickich używał herbu Dębno, który się tak przedstawia: krzyż biały przez całą tarczę rozciągniony, a przy lewym jego boku, u spodu, znak herbu Abdank, kształt litery **W** mający, zaś nad herbem i koroną krzyż kościelny, między dwoma bawolemi rogami. Ciekawe jest pochodzenie tego herbu, ma być ono takie:

Kiedy w r. 1243 Tatarzy ogromnemi ordami do Europy wpadli, na pierwszy łup dostała im się Polska, a w niej klasztor Ś-go Krzyża, na Łysej górze, pod Sandomierzem. Z klasztoru tego, pomiędzy innym

łupieżem, dzicz ta pogańska drzewo Krzyża Ś-go, w złoto i kamienie drogie oprawne, świętokradzką ręką unieśli i aż do kraju swego, Tartaryi, zawieźli. „Bez żadnej czci i honoru — opowiada dawny pisarz — jako u poganów, ta święta relikwia była, za co kara na łupieżców spadła, w postaci moru straszliwego, który ich trzebił okrutnie. Chan tatarski wrózków swoich zapytywał: co za powód tak ciężkiej klęski? Odpowiedzieli wszyscy jednomyślnie: — To Bóg chrześcijański się gniewa, o zabranie czegoś z Jego kościołów. — Poświadczył to samo chrześcijanin, w niewolę przez Tatarów zabrany, a nawet wyraźnie mówił: — „Plaga na was spadła, iżście drzewo, które Chrystus Pan, Zbawiciel świata, krwią swoją, na ziemi umierając, poświęcił, porwali z kościoła naszego i u siebie, w niegodnych rękach trzymacie.“ — Ulękł się Chan, a ponieważ zaraza coraz bardziej się srożyła, kazał co prędzej relikwię odnaleźć, a odnalazłszy, do Polski z należytą czcią odesłać, postanowił. Jakoż odwiózł relikwie jeden ze znaczniejszych murzów (przywódców tatarskich), który miał za małżonkę panienkę szlachetnego urodzenia, z Polski uwieczoną. Murza ów, oddawszy relikwię skrzywdzonemu klasztorowi, do swoich nie wrócił, lecz wiarę chrześcijańską przyjął i w Polsce pozostał, osiadłszy na zamku Dębno, który to zamek, wraz z obszernemi włościami, monarcha polski mu darował, nadając mu przytem herb, z nazwą od zamku wziętą. W herbie tym z początku widniał sam tylko krzyż; dopiero później, gdy rycerz pewien, z rodu Abdanków, złość do nawróconego Tatarzyna czując jakąś, pochodzenie mu wyrzucał pogańskie, a nawrócony na pojedynek go wyzwiał i walecznie pokonał, król rozkazał zwycięscy, na pamiątkę tego zdarzenia, w herbie, obok krzyża, znak Abdanków umieścić.

Wielce pobożnym i cnotliwym okazał się nawrócony murza, jak również potomkowie jego, do których, idąc za przytoczoną opowieścią herbową, Oleśnickich zaliczyć trzeba, on ród, co tak znamienite zasługi dla kraju położył i który męża wiekopomnego z siebie wydał, właśnie Zbigniewa, biskupa krakowskiego i kardynała. Był mąż ten synem Jaszka z Oleśnicy, sędziego krakowskiego i Dobrochny z Rożnowa; miał brata Jakuba, w zgromadzeniu Kanoników Regularnych Ś-go Augustyna i siostrę Pachnę, za Janem Ossolińskim, kasztelanem radomskim. Za młodych lat służył krajowi rycersko i zdarzyło się, że królowi Władysławowi Jagielle, podczas sławnej z Krzyżakami bitwy na Zielonem Polu, życie ocalił, odpierając cios Dipolda Kikerzyca, bardzo znamienitego rycerza krzyżackiego. Król do śmierci nie zapomniał mu tej przysługi i gdy Zbigniew do stanu duchownego wstąpił, do pozyskania infuly krakowskiej mu dopomógł.

Do godności pasterskiej wyniesiony — tak pisze o Oleśnickim Kasper Niesiecki, Jezuita — przedziwną umysłu wspaniałością, nieprze-



łamanym statkiem i odwagą, wiary katolickiej, praw kościelnych i swobód ojczystych zawsze bronił. Husytom naprzód tak się oparł, że ich wszędzie łapając, zewsząd wyganiając, królestwo od ich zarazy wolne zostawił. Gdy z Czech posłowie przyjechali do Krakowa, dowiedziawszy się, że herezyą tręcili, interdykt (zakaz odprawiania nabożeństwa) na miasto nałożył, dopóki z niego owi heretycy nie ustąpili. Z tego również powodu, lubo Wielkanoc nadchodziła, do Krakowajechać nie chciał, ale w Mogile Olej Ś-ty konsekrował, nie dbając o to, że na niego król i inni duchowni mruczeli. Bratu Jagiełły, Witoldowi, który się korony i tytułu królewskiego w Litwie napierał, w senacie mocno się oparł i nie dał się złamać prośbom, obietnicom ani pogrożkom. Królowi nawet, lubo tak na siebie dobroczynnemu, klątwą zagroził, gdy wojsko swoje, wracające z krzyżackiej wojny, chciał na leżę zimową w dobrach kościelnych lokować. Ilekroć król na poddanych ciężary niesłuszne wkładał, ujmował się za pokrzywdzonymi. Razu pewnego, w senacie, Jagiełło burknął: — Ty sam jeno, biskupie, we mnie coś zdrożnego widzisz, gdy inni wszyscy milczą! — Wówczas wszyscy senatorowie oświadczyli, że Zbigniew w ich imieniu mówi. Jagiełło wszelako wielce zawsze biskupa-kardynała cenił i poważał, wiedząc, iż jeno dobro kraju i jego potęgę ma na celu. To też umierając, pierścień mu swój ślubny, od królowej Jadwigi otrzymany, podarował, za swoje ułomności go przeprosił i synów swoich jego opiece polecił.

Oleśnicki wiernie do zgonu Jagiełłowiczom w rządzeniu krajem pomagał, wcale im nie schlebiając. Synowi Jagiełły, Władysławowi, który pod Warną zginął, gdy do Węgier na tron tamtejszy się wybierał, znaczną sumę pieniędzy pożyczył, wzięwszy w zastaw Spiż, a następnie, za pieniądze ze Spiżu zebrane, kupił Księstwo Siewierskie, od Wacława, ks. cieszyńskiego, i do biskupstwa krakowskiego je włączył. Dziesięciny z ziemi lubelskiej, przez poprzedników swoich zaniedbane, pościagał. Relikwie Ś. Ś.: Jana Chrzyciciela, Wawrzyńca, Piotra, Pawła, Witalisa, Maurycyusza, Krzysztofa i Katarzyny, w posągach złotych albo srebrnych zamknięte, katedrze krakowskiej darował, nadto kielich złoty, infułę od złota, pereł i kamieni bogatą, oraz inny aparat kościelny. Przytem prawo ustanowił, żeby każdy biskup krakowski kielich swojej katedrze w pamiątce zostawił. Kolegiatę w Nowym Sączu, a przy niej 4 prałatów, 4 kanoników i 4 wikaryuszów ufundował, prócz tego mieszkanie należyte z murów dla nich wyprowadził. Ojców Paulinów, Ś-go Pawła Pustelnika, w szczególnem miał zachowaniu; nie tylko o głównej ich siedzibie, Jasnej-Górze, pamiętał, ale także do Pińczowa, dziedzicznego miasteczka swego ich sprowadził i w klasztorze, przez siebie wybudowanym, umieścił. Wniósł nadto i uposażył kościoły: w Bożęcinie, Piotrawinie, Biskupicach, Siennie i Oleśnicy, a w Iłży



szpital. Kapituły krakowskiej dochody powiększył, na utrzymanie kaznodziei katedralnego fundusz wyznaczył, akademii krakowskiej budowli przyczynił, uczącą się młodzież wspomagał. Pałac dla biskupów w Krakowie wystawił, a po wszystkich dobrach biskupstwa, dwory dla nich pobudował. Trzy stawy wielkie, w Radłowie, Biskupicach i Kunowie, założył; wieś Kunów w miasteczko obrócił; wieś Stróże dla biskupów kupił; kolegiatę sandomierską wzbogacił. Niektóre ołtarze w katedrze krakowskiej wikaryom przyłączył; dwa dzwony dla tejże katedry, Urbana i Kardynała, sprawił.

Nie na tem to koniec zasług kardynała biskupa Olśnickiego. On to Ś-go Jana Kapistrana, członka zgromadzenia Ś-go Franciszka, z Czech do Krakowa zaprosił, gdzie go z wielką czcią przyjął i dla braci jego klasztor na Stradomiu z kościołem drewnianym pod wezwaniem Ś-go Bernardyna oddał (skąd w Polsce, od wezwania tego kościoła, Bernardynami tych Ojców nazywano). Dla duchowieństwa nowe prawa przepisał. Gwóźdź z krzyża Zbawiciela, przez kardynała Latina Ursyna królowi Jagiellonowi dany, katedrze krakowskiej złożył. Spytka z Melosztyna za herezję wyklął.

O śmierci tego znamienitego dostojnika Kościoła kanonik Długosz opowiada temi słowy:

„Roku Pańskiego 1455, udał się kardynał biskup Oleśnicki do Sandomierza i tam, według zwyczaju swego, w ścisłej wstrzemięźliwości przez cały niemal post wielki bawił, oddany modlitwie i służbie ołtarza. W niedzielę Kwietnią, odprawił głośno nabożeństwo dzienne i nieszporne, a ku wieczorowi lud bierzmował. Nazajutrz, odśpiewawszy na pogrzebie Jana Koniecpolskiego, kasztelana królestwa, Mszę żałobną, wrócił z kościoła i zaraz położył się w łóżko; porwała go bowiem mocna febra, w której miał oddech nadzwyczaj ciężki i krew z flegmą wyrzucał. A kiedy i sam, i jego domownicy mniemali, że silna jego natura chorobę tę snadno wytrzyma, dawszy się namówić lekarzowi do krwi puszczenia, we wtorek po niedzieli Palmowej, to jest dnia 1-go kwietnia, właśnie kiedy w kościele sandomierskim czytano Ewangelię Ś-tą o Męce Zbawiciela, wyzionął szlachetnego ducha, który wszelką potęgą tego świata, targającą się dumnie przeciwko wierze, prawom Kościoła i sprawiedliwości, pogardzać umiał, - a który z Aniołami uniósł się do gwiazdzistych przybytków nieba. Gdy w Polsce gruchnęła wieść o jego zgonie, wszystkich taki żal i smutek ogarnął, że go nie tylko jako kardynała, biskupa, prawdziwy filar Kościoła i godnego Apostołów następcę, ale jak ojca, zarazem zbawcę kraju i orędownika, rzewnemi łzami oplakiwali, narzekając głośno, że już wszystko stracone, upadł naród, zginęła wolność, szczęście i wszelkie dobro. I nie dziw. Był on bowiem niby gwiazdą najświecniejszą, nad którą wiek nasz nie wi-

dział nic cudniejszego, ani czas potomny nie zobaczy; która nietylko Polsce i kościołowi krakowskiemu dodawała blasku, ale i starszyźnie Kościoła rzymskiego chlubnie przyświecała. Takiego kraj polski stracił w nim biskupa, obrońcę i opiekuna, jakiego podobno żaden wiek późniejszy nie wyda. Nikt bowiem nad niego mężniej nie stawał w obronie wiary katolickiej i swobód Kościoła, surowszym nie był w wymierzaniu sprawiedliwości, gorliwszym w osłanianiu ubogiego i sieroty, hojniejszym we wspomaganiu nędzarza, przyjmowaniu w dom przychodnia, ratowaniu uciśnionego dłużnika, nikt z większą nie starał się gorliwością o rozszerzenie potęgi i sławy swojej ojczyzny. Ciało jego z Sandomierza sprowadzono do Krakowa i we środę po świętach Wielkiejnocy pochowano w kościele katedralnym, w samym środku chóru, w trumnie miedzianej, którą sobie za życia zrobić był kazał. Tak wspomniał zaś a słusznie mu należącym się od duchowieństwa i ludu uczczony był pogrzebem, że nie chowanoby z większą czcią i okazałością zwłok papieskich, cesarskich albo królewskich. Zawieszone na jego grobowcu trzy kapelusze czerwone oznaczają, że od trzech Papieżów: Eugeniusza IV, Feliksa V i Mikołaja V po trzykroć mianowany był Kościoła rzymskiego kardynałem, czego nie znajdziemy przykładu nigdzie w dawnych kronikach. Żył zaś Zbigniew kardynał lat 66, na stolicy krakowskiej siedział 32 lata, kardynałstwo piastował lat 16. Testamentem wszystkie swoje skarby nie krewnym albo powinowatym, lecz uczącej się młodzieży, ubogim, klasztorom, kościołom i nędzarzom rozdać zalecił. Nigdy on nie szczędził heretyków, ale starał się z największą gorliwością o ich nawrócenie. Nieprzyjacielem Kościoła ścigali go, jako przeciwnika swego i wroga. Mąż pełen dobroci, ludzkości, wspałości umysłu, w domu gościnny, dla wszystkich dziwnie łaskawy, w każdej przygodzie zastawiać się umiał tarczą rozumu i niepożytej cierpliwości.“

Kanonik Długosz nie z opowieści, ani z ksiąg szczegóły powyższe czerpał; żył właśnie w tych czasach i z kardynałem-biskupem Oleśnickim w blizkich pozostawał stosunkach, a nawet kapelusz kardynalski mu wręczał, więc przekazał nam to, co oczyma własnymi oglądał, a takie świadectwo musi być ściśłem i wiernem.

Nie posiadamy wiadomości, czy następcą Władysława Jagiełły, syn jego, Władysław, którego dzieje nazwały Warneńczykiem, a to z powodu, iż poległ w bitwie z Turkami nad Warną, czy monarcha ten, podczas krótkiego swego panowania, Jasną Górę odwiedził i kiedy mianowicie, ale wolno przypuszczać, że uczynić tego nie omieszkał, gdyż wszyscy Jagiellonowie odznaczali się szczerą, głęboką pobożnością, a przytem Warneńczyk zostawał pod kierunkiem biskupa Oleśnickiego oraz ulegał dobroczynnym wpływom Grzegorza z Sanoka, jednego z naj-

światlejszych mężów swego wieku, który życia dokonał jako arcybiskup lwowski. Zresztą, bardzo jest prawdopodobne, że Jagiełło, umierając, synom swoim nabożeństwo do cudownego obrazu zalecił, a synowie wolę ojcowską święcie szanowali.

Wiemy natomiast z pewnością, że brat Warneńczyka, Kazimierz, częstym na Jasnej-Górze bywał gościem i zawsze szcudrobliwym dla Ojców Paulinów się okazywał. Za panowania wszakże tego dobrego i sławnego króla spadła na Jasną-Górę nowa klęska. Stało to się w r. 1466. Oddział wojsk, wysłanych przez króla czeskiego, Jerzego, na ukorzenie Wrocławia, wtargnął w granice Polski ze Śląska, a wódz tego oddziału, Ścibor Towaczowski, Morawczyk, czy chciwością zdobycia łupów wiedziony, czy też z potajemnego rozkazu króla Jerzego, który orężowi polskiemu zazdrościł powodzenia w Prusiech, napadł na miasto Częstochowę i klasztor Jasnogórski, a także i włości okoliczne haniebnie splondrował. Tłómaczył się ten łotr, iż łupiestwa dopuścił się dlatego, ponieważ król Kazimierz nie wypłacił żołdu należnego Czechom, za pomoc wojsku polskiemu w wojnie z Krzyżakami. W czasie tej napści, jak się zdaje, obraz cudowny nie doznał pohańbienia, ale Ojcowie Paulini musieli się okupić napastnikom, którzy następnie zdołali ująć z łupami do Namysłowa, czego by bezkarnie uczynić nie zdołali, gdyby Przedzysław Dmoszycki, starosta spiski, w ściganiu ich opieszałości nie okazał. Król Kazimierz usilnie żądał od króla Jerzego zadość uczynienia tej krzywdy, lecz chytry Czech zapewnił, iż stało się to bez jego wiedzy, ani mu przez myśl przyszło, na miejsce cudami słynące godzić. Kazimierz miał w tym właśnie czasie mnóstwo rozmaitych kłopotów, więc rzecz się zatarła i w niepamięć poszła. Dziejopisowie, Długosz oraz Kremer, takie o tym napadzie zapisali szczegóły:

Roku Pańskiego 1466, Jerzy, król czeski, zebrawszy zastęp pieszego i jeźdnego rycerstwa i dawszy mu za wodza Ścibora z Towaczowa, posłał go do oblegania miasta Wrocławia, nie mógł bowiem do tej wyprawy namawiać drużyny, która się nazywała Bracią, a którą z Austrii wypędzono. Było to wojsko Jerzego zgrają, złożoną z samych mitręgów, nawykłych żyć z rabunku, nędzne i odarte. Znajdowali się w tem wojsku Jan Buryan Puklica młodszy, ze Sztembergu, bratanek Wilhelma Puklicy i innych kilku, którzy głosili kłamliwie, że król polski był im dłużny jakoweś pieniądze. Gwoli ich żądaniu, czy też z rozkazu króla Jerzego, Ścibor Towaczowski wkroczył do Polski i bez żadnego wypowiedzenia wojny, miasto Częstochowę z klasztorem i kilkoma okolicznymi wsiami splondrował. Mógł snadno Jakób Dębiński, starosta krakowski, podskarbi koronny, któremu król Kazimierz powierzył straż królestwa i obronę ziemi krakowskiej, ukrócić najeźdzcę, a to tembardziej, gdyż o jego napadzie był zawiadomiony nie tylko przez szpiegów,



ale także przez Morawian i Ślązaków, którzy pragnęli ukarania Towaczowskiego i nawet w tym celu przysłali posiłki, z własnego i najemnego wojska złożone; lecz Dębiński porucił tę sprawę Przecławowi z Dmoszyc, staroście spiskiemu, sam zaś pozostał w Oświęcimiu, żeby stąd odstraszać nieprzyjaciela. Przez tę opieszałość pozbawił się chwały najświetniejszego zwycięstwa, bo Przecław walki unikał i rozmyślnie wypuścił z rąk Towaczowskiego, który obładowany łupem, zrabowanym w Częstochowie, we wsi Dorniewiczach nocował i tam łatwo w sto koni mógł być zniesiony do szczętu, ile że wszystko hultajstwo jego, snem i opilstwem zmorzone, leżało, jak zarżnięte. Towaczowski zatem, żadnego nie napotkawszy oporu, bezpiecznie z łupami posunął się ku Namysłowu i to miasto obległ, zamiast Wrocławia; lecz dowiedziawszy się, że wrocławianie przeciwko niemu w znacznej zamierzają wyruszyć siłę, wsparci posiłkami Jakuba Dębińskiego, który teraz dopiero żwawiej ruszać się począł, złupił powiat niemysłowski, pociągnął do Wołczyna, przeprawił się przez Odrę pod miasteczkiem Krapkowicami i do Morawy wrócił. Wrocławia dlatego oblegać nie śmiał, ponieważ Fryderyk, margrabia brandeburski, nie przybył mu z pomocą, jak to był królowi Jerzemu przyrzekł. Król Kazimierz, otrzymawszy wiadomość o zuchwałej napaści Towaczowskiego, niezwłocznie posłał pełnomocnika swego, sędziego nadwornego Mikołaja Grzymałę, do króla Jerzego, który wówczas w Kłobucku bawił. Jakub Dębiński także wysłał od siebie Szymona, pisarza. Na skargi posłów, którzy przytem powoływali się na przymierze, zawarte z Czechami w Głogowie, chytry król Jerzy taką dał odpowiedź: — Towaczowski nie z mego rozkazu to uczynił, ale w obronie praw Buryana Puklicy. Niechaj zatem król Kazimierz albo zapłaci to, co winien Buryanowi Puklice; albo, jeśli nie uznaje długu, niechaj sam sprawę załatwi; albo niech ją odda pod sąd i wyrozumienie ludzi godnych. Niezadowolony taką odpowiedzią, wysłał król Kazimierz Zbigniewa z Góry, kasztelana małogoskiego, aż do Pragi, zdając sprawę na sąd nie króla Jerzego, lecz na sąd walnego zebrania panów czeskich. Jakoż wyznaczono dla sprawy tej dzień Ś-go Jędrzeja Apostoła, a miasto Bytom. Morowa zaraza przeszkodziła zebraniu się sędziów, przeto sprawę do roku następnego odłożono. Tymczasem wywiązały się z Czechami nowe zatargi i wojny, a w tem zamieszaniu o sprawie napadu Towaczowskiego zapomniano.

Po za tym wypadkiem, Jasna-Góra za panowania Kazimierza Jagiellończyka innej już krzywdy nie doznała. Co zaś do samego króla Kazimierza, ten pierwszą pielgrzymkę do klasztoru odbył zaraz po objęciu tronu, w r. 1447, wraz z matką swoją, królową Zofią, o czem kronikarz nadmieniał temi słowy: „Roku Pańskiego 1447, we wtorek po Ś-tej Małgorzacie, wybrał się król Kazimierz z Krakowa, w towarzystwie



królowej Zofii do Wielkiej Polski, a zanocowawszy w Słomnikach,jechał dalej przez Miechów, Lelów, Częstochowę, Kłobucko, Krzepice, Wieluń, Sieradz, Kalisz i Poznań.“

Odwiedziny następnego króla Kazimierza, Andrzej Gołdonowski pod rokiem 1472 zapisuje, dodając, iż wtedy przybył on na Jasną-Górę z małżonką swoją, królową Elżbietą i z całym swoim potomstwem, a po odprawieniu modłów przed obrazem cudownym za pomyślność kraju i własnej rodziny, uczestnictwo zakonne z rąk Ojca Jakuba z Bogumiłowa, prowincyała ówczesnego Paulinów, przyjął. Nieszporowski utrzymuje, że się to stało w r. 1477 i w ten sposób o tem pisze: „Najjaśniejszy Kazimierz, król polski, syn Władysława Jagiełły, króla, z synami swymi, a wnukami Jagiełły: Władysławem, potem królem czeskim i węgierskim; Ś-tym Kazimierzem Wyznawcą, Janem Wojciechem, Aleksandrem, Zygmuntem, potem królami polskimi; Fryderykiem, kardynałem i biskupem krakowskim, stawając na Jasnej-Górze przed obrazem Najświętszej Panny, jakże jednali i skarbili łaskę Boską i opiekę Najświętszej Panny dla tego ślicznego i wybornego snopka Jagiellońskiego, w czem nie ustawiali nigdy. Pragnąc zaznawać większej łaski tej i opieki skutków, konfraternię albo uczestnictwo zasług zakonu Ś-go Pawła, pierwszego pustelnika, przyjęli z rąk Wielebnego Ojca Jakuba prowincyała, przed obrazem Najświętszej Panny, roku Pańskiego 1477. Trzebaż było widzieć tak wdzięczny w oczach Najświętszej Panny snopek ten, a w nim najśliczniejszą lilie, Kazimierza Ś-go, do palmy Paulinów tulącą się i przytuloną“.

Zachodzi tedy pomiędzy dwoma tymi pisarzami sprzeczność, której stanowczo rozstrzygnąć niepodobna. Przypuszczam jednak, że Gołdonowski ma słuszość. Mógł wprawdzie Kazimierz Jagiellończyk odwiedzić Jasną-Górę i w r. 1477, jak chce Nieszporowski, bo niewątpliwie więcej daleko razy składał hołd i modły zanosił przed cudownym obrazem, niż nam świadectwa pozostałe przekazują, a co można twierdzić napewno, znając pobożność tego monarchy i szczególne do cudownego obrazu nabożeństwo. Lecz, że w r. 1472 gościł na Jasnej-Górze, to możemy śmielej utrzymywać, jak również, że wtedy odbyła się uroczystość przyjęcia konfraternii. Zaraz wytłómaczę czytelnikowi, na jakich danych moje przypuszczenie opieram (nawiasem mówiąc, na ten szczegół drobiazgowy Baliński, w cennej zresztą swojej „Pielgrzymce do Częstochowy“ uwagi nie zwrócił).

Otóż, w dawnych kronikach czytamy, co następuje: „Roku Pańskiego 1472, w dzień tysiąca Rycerzy Męczenników, to jest w poniedziałek, dnia 22 czerwca, Jan Długosz, starszy kanonik krakowski, w kościele Ś. Ś. Michała Archaniola i Stanisława Męczennika na Skatce (w Krakowie), po wynagrodzeniu plebana tegoż kościoła, Jana Sze-

bienia (tak tłumaczę nazwisko, napisane po łacinie *Schebyen*) dwiema dość korzystnymi prebendami, to jest: sandomierską i kielecką, za pozwoleniem Jana Rzeszowskiego, biskupa krakowskiego, ufundował klasztor Braci Pustelniczych Ś-go Pawła pierwszego pustelnika, regułę Ś-go Augustyna wyznających, którzy oddani dwojakiego rodzaju ćwiczeniom, życia czynnego i bogomyślności, wielce Kościołowi Bożemu mogli być użyteczni; tusząc, że to miejsce święte, jak rzeczywiście jest i było, Wybrańca Bożego Stanisława, Najchwalebniejszego Męczennika, krwią poświęcone, a dotychczas tak zaniedbane, wyśpiewywaniem chwały Bożej we dnie i w nocy, a mężów zakonnych świętobliwością, gorliwą pracą i staraniem, za łaską Najwyższego, do pomnożenia chwały Bożej i zbawiennego chrześcijan pożytku skutecznie się przyłoży. Dochody jego powiększył rzeczony Jan Długosz przyłączeniem funduszu altaryi Ś-go Krzyża w tymże kościele znajdującej się, za które altarysta wziął inne, dostatnie beneficjum. Pierwszym przeorem tego klasztoru był brat Jakub z Bogumiłowa, naówczas prowincyał Polski, mąż zalecony rzadką cnotą i życia świętobliwością, który szczycił się tem osobliwszem szczęściem, że, co żadnemu nie zdarzyło się innemu zakonowi, jego i braciom dał Bóg najpierw to miejsce odziedziczyć. Przydał nadto temu klasztorowi rzeczony Jan Długosz połowę czynszu z żup wielickich, skupiwszy go u Spytki z Melsztyna, za wieczystym przywilejem królewskim.“

Długosz, równie jak Wojciech Jastrzębiec i Zbigniew Oleśnicki, Ojców Paulinów do ufundowanego klasztoru sprowadził z Jasnej-Góry, która była niejako rozsadniczką tego zakonu w Polsce. Wiemy też, że Jakub z Bogumiłowa, inaczej Jacobus de Rupella, nietylko króla Kazimierza, wraz z dziećmi, ale także Długosza do braterstwa z Paulinami na Jasnej-Górze zapisał (cytuje to i ks. Józef Adamczyk w pracy swojej: „Wizerunki dostojników duchownych w sali Rycerskiej na Jasnej-Górze“). Zestawiając dane powyższe, a także pamiętając, że kanonik Długosz był nauczycielem synów Kazimierza Jagiellończyka, przyjdziemy do wniosku następującego: Uroczyste sprowadzenie Ojców Paulinów na Skałkę, zaczęło się prawdopodobnie ceremoniami na Jasnej-Górze, gdzie pośpieszył i fundator klasztoru na Skałce, i pobożny, szczerze miłujący go król z rodziną. Dla uświetnienia i upamiętnienia tej uroczystości, Jakub z Bogumiłowa, fundatora klasztoru na Skałce i królewskich jego przyjaciół do braterstwa zakonnego zapisał. Ponieważ zaś kroniki fundacyę klasztoru na Skałce zapisują pod r. 1472, a zatem Gołdonowski ma słuszność, utrzymując, że tego roku król Kazimierz był z rodziną na Jasnej-Górze i uczestnictwo zakonne przyjął.

W r. 1474, król Kazimierz dłużej w klasztorze Jasnogórskim gościł, podczas wyprawy swej na Śląsk, przeciwko królowi węgierskiemu,

Maciejowi. Kronikarze o tem nadmieniąją bardzo krótko, a mianowicie: „Roku Pańskiego 1474, Kazimierz, król polski, popierając wszelkimi siłami wojnę przeciwko Maciejowi, królowi węgierskiemu, w piątek dnia 12 sierpnia, wyruszywszy z Nowego Korczyna, przybył do Mstowa, dokąd miały wojska jego pościagać. Tu więc najpierw, a potem w Częstochowie i Kłobucku, nakoniec pod Denkowem, nad rzeką Istwartą, stał obozem przez sześć tygodni, czekając na nadejście wojsk swoich, które leniwo i według upodobania swego postępowało, a pochłaniając i niszcząc po włościach zbiory, wioski i majątki okoliczne z dymem puszczając, czas drogi traciło gnuśnie i bezczynnie. Była i inna tego opóźnienia przyczyna, że wielu rycerzy ziemi krakowskiej, a celniejsi między nimi: Spytek z Melsztyna i Jan Rabsztyński z Kraśnika, na wojnę zagraniczną bez żołdu iść nie chcieli. Opór ich zaledwie w dni kilkanaście zdołał król Kazimierz pokonać, częścią skarceciem, częścią łagodnymi radami i namowy (rozjątrzone bowiem umysły często w zuchwalstwie przebierały miarę) i dopiero dnia 26 września wojsko swoje, pomnożone oddziałami Litwinów i Tatarów, do 60 tysięcy wynoszące, wyprawił ku granicom nieprzyjacielskim“.

Tyle kronikarze. Z innych świadectw okazuje się, że król Kazimierz z wojskiem swoim obozował w miejscowości zwanej *Złota Góra*, pod Częstochową, przygotowując się wkroczyć do Śląska, aby ukarać ks. żegańskiego za spalenie 600 wsi w Wielkiej Polsce i opanować Wrocław. Obozując, odwiedzał wciąż Jasną-Górę i nowemi dobrodziejstwami Ojców Paulinów obsypał. Więc kościół parafialny miejski w Częstochowie, pod opieką królewską zostający, pozwolił Piotrowi z Chorzenic, proboszczowi, oddać przeorowi i całemu zgromadzeniu Ojców Paulinów na Jasnej-Górze, przytem upoważnił Ojców, do utrzymywania tam parafii, przelawszy na nich swoje prawa kolatorskie. Wezwany przez króla Jan z Rzeszowa, biskup krakowski, sporządził w Krakowie dnia 12 grudnia akt, mocą którego probostwo częstochowskie przy kościele Śgo Zygmunta na rzecz przeora Jasnej-Góry przechodzi. Z biegiem czasu Ojcowie Paulini wybudowali przy tym kościele klasztor, który dla weteranów (sędziwych, złamanych wiekiem) swego zgromadzenia przeznaczyli.

Słusznie przypuszcza autor „Pielgrzymki do Częstochowy“, że król Kazimierz Jagiellończyk, obciążony, pod koniec panowania swego nawąłem spraw publicznych, odprawiając nieustannie sejmy w Piotrkowie, często Jasną-Górę odwiedzał i tam we frasunkach swoich do Pocieszycielki strapiionych się uciekał. Prawdopodobnie także nie omieszkał do Częstochowy zboczyć, odwożąc z Krakowa do Poznania córkę swoją, Jadwigę, zaślubioną Jerzemu księciu Bawaryi, ażeby ją tam poślom bawarskim powierzyć, pragnął bowiem ukochane dziecię swoje,



nadobną dziewicę królewską, w chwili, gdy opuszczała rodzinną ziemię polską, polecić łasce Królowej Nieba a Orędowniczki narodu polskiego.

W tych czasach sława Jasnej-Góry szeroko już rozeszła się nawet po obcych krajach. Nuncyuszowie papiescy (t. j. posłowie-pełnomocnicy papiescy, zostający przy dworach zagranicznych) o świętości Jasnej-Góry nie zaniedbali zawiadomić Stolicy Apostolskiej, przytem sami, bawiąc w Polsce, zawsze ją odwiedzali, składając hołd cudownemu obrazowi i hojne ofiary na ołtarzu Bogarodzicy. Mamy tego liczne dowody, zwłaszcza w postaci przywilejów dla klasztoru i kościoła na Jasnej-Górze. Z końca XV stulecia zachowały się dwa takie przywileje. Obydwa przyznają wiernym, szukającym na Jasnej-Górze orędownictwa Najświętszej Panny, odpusty, a zgromadzeniu Ojców Paulinów prawa szczególne. Jeden wydany został w r. 1461 przez arcybiskupa kreteńskiego Hieronima, pełnomocnika Papieża Piusa II-go; drugi przez Papieża Aleksadra VI-go.

Król Jan Olbracht, syn i następca Kazimierza Jagiellończyka na tron polski, obejmując władzę, względę dla Ojców Paulinów, strażników obrazu cudownego na Jasnej-Górze, okazał, potwierdzając wszystkie nadania i fundusze, przez ojca i dziada swego klasztorowi przyznane. Akt, co do tego, sporządzony był w 1492 r., w Krakowie. Widnieją na nim podpisy: Andrzeja Boryszowskiego, herbu Róża, arcybiskupa lwowskiego, Macieja ze Starej Łomży, biskupa chełmskiego; kasztelanów: krakowskiego — Jana Amora z Tarnowa, sieradzkiego — Mikołaja z Kurozwęk, wojnickiego — Andrzeja z Tenczyna, sandeckiego — Andrzeja z Pińczowa, przemyskiego — Stanisława z Wiśnicza; wojewodów: krakowskiego — Spytka z Jarosławia i ruskiego — Jana z Pilczy; Piotra z Kurozwęk podskarbiego i Piotra z Wiśnicza marszałka.

(D. c. n.)





# BISKUP-MĘCZENNIK

opowieść z przeszłości

PRZEZ

Michała Synoradzkiego.

## IV.

Okszykowa pogroźek kasztelana bynajmniej nie lekceważyła, gdyż wiedziała, że nie były płonnemi. Sprawwszy małżonkowi poległemu pogrzeb przystojny, niezwłocznie Zagórze obwarowała, ludzi zastęp spory, dostatnio uzbrojonych, w wierności wypróbowanych, zgromadziła, na wszelki przytrafunek, pod ręką. Wiedział o tych przygotowaniach Bolesta, ale nic sobie z nich nie robił.

— Nie obroni się przed zemstą moją nijakim sposobem — mówił do brata swego Bieniasza, człowieka również zawziętego, barbarzyńskich obyczajów, rozwiązłego, zaprawnego w bezprawiach i gwałtach wszelkich, który przytem rzadko trzeźwie patrzył, bo wciąż głowę miodem lub piwkiem zalewał. — Słyszane rzeczy, żeby mnie, kasztelana i wielkorządcę, z którym nawet Kędzior się rachuje, marna niewiasta znieważać miała? Toćże zgroza zaprawdę! W to dufa, że Sulisław w łaskach u króla był i że krewniak jej, Werner Róża, na stolicy biskupiej w Płocku siedzi... Nic to dla mnie. Kędzior mnie nie zaczepi, biskup też. A choćby zaczepili, odgryźć im się potrafię.

— Ja ci swoich zębów na każde zawołanie użyję — rzekł Bieniasz, wstrząsając łbem olbrzymim, porośłym długim, rozwichrzonym włosem i usta szerokie, wywinięte, potwornie wykrzywiając.

— Pożałuje zniewagi! Mało brakło, żeby mnie drabom swoim za bramę wypędzić kazała. A i ta jej sroka, Halka, złe słowa w oczy mi

ciskała.. „Nic tu po was, kasztelanie!“ — tak przyświadczała starej, do tego patrzyła na mnie, jak na gadzinę. Poczekaj, dziewczko! Będziesz inaczej zawodziła, skoro się ze starką swoją w ręce Prusów dostaniesz..

— Pono ona Halka dziewczka jest urodziwa? — mruknął Bieniasz, z pod oka na brata poglądając.

— Padalcza w niej natura... do oczu ludziom skacze.

— Zamyślasz Prusów na nie nasłać?

— Jeszczem nie rozważył, co i jak, ale mniemam, że się na tem skróćmy..

Bieniasz z dzbana pociągnął, aż mu krwią oczy niepewnie patrzące zaszyły, pianę piwną z wąsów i brody dłonią potężną zgarnął.

— Jabym Prusom obławu nie nastęczał — rzekł. W Zagórze dobra wszelkiego moc; ile słyszę, komory tam srebra i złota pełne: dlaczego mamy bogactwo takie z rąk wypuszczać?

— Nie łaknę ja tamtejszego dobra, swego mam podostatkiem. Chcę jeno na swoim postawić, zniewagę pomścić..

— Myślałby kto, żeś na złoto i srebro nie łasy! — rozśmiał się chrapliwie Bieniasz. — Jeśli tak, to dlaczego przy zagarnięciu Zagórze obstajesz?

— Możebym nie obstawał, gdyby mi go tak uparcie nie zaprzeczali..

— Ot, gadasz, aby gadać! Na swoim chcesz postawić, to swoim porządkiem, ale o osiągnięciu przy sposobności pożytku, także myślisz. Znam ja ciebie, mościwy kasztelanie!

— Mało znasz, skoro tak prawisz.

— Ano... w każdym razie uważam, że Prusom wszystkiego dobytku Okszów zagarnąć nie pozwolisz. Nie tak-li?

— Ja zaś uważam, że ciebie na niego bierze oskoma?

— A bierze! — potaknął Bieniasz, pięścią o stół tłukąc. — U ciebie, cny kasztelanie, wszystkiego w bród, a u mnie zawsze bieda. Jeżeli mi co kapnie, to jeszcze rychlej kaduk zabiera. Sam nie wiem, jak to się dzieje.

— Gardła swojego zapytaj.

— Juścić... szerokie ono, przestronne, połknęło już nie jedną kadź, a wciąż więcej pragnie. Taki już ze mnie nienasytek od urodzenia.

— Smok powiedz — wtrącił Bolesta.

— Niechże będzie i smok — ziewnął Bieniasz. — Dlatego powiadam, żeby Prusom obławu nie nastęczać.

— Darmo mi pomocy nie dadzą.

— Oczywiście! Chybaby całkiem rozumu nie mieli.

Popatrzył Bieniasz na brata, wreszcie rzekł od niechcenia:

— Kasztelanie mój... zdaj Zagórze na mnie; ja tam porządek uczynię należyty...

— I dla siebie wszystko zagarnę? — rzucił kasztelan drwiąco.

— Przy włości останiesz, tej nie tknę.

— A z niewiastami, co uczynisz?

— Moja rzecz.

— Może onego padalca, Halkę, za żonę chcesz pojąć?

— Może.

— Przywiązałbyś sobie kamień do szyi. Tobie o żonie myśleć?

— Jenó postanów, kiedy się do Zagórze zabrać, o resztę nie pytaj.

— Nie dziś o tem gadać.

— Według mego rozumienia: im prędzej, tem lepiej. Długi rozmyśl—nic potem.

Kasztelan Bieniasza zbył na razie ni tem, ni owem, bo istotnie, chociaż się chciwości wypierał, chciał nietylko rzekomą zniewagę pomścić, ale także zyskać przy sposobności, jak można najwięcej dostatków, z których Okszowie słynęli szeroko. Pomoc Bieniasza była mu na rękę, ale chciał go wykwitować lada czem. Przeczynał to Bieniasz, wszelako nic nie mówił, w duchu za to przyrzekając sobie, że mu się ta zbrodnicza przysługa sowiecie opłacić musi.

Dzień za dniem mijał, Bolesta przed bratem z ostatecznem postanowieniem, co do Zagórze się nie zwierzał. Ludziom swoim polecił wdowie doskwierać ukradkiem—w stadach, na łąkach, w zbożach i lasach szkodę czynić, lecz od gwałtu większego się wstrzymywał. Sarkał Bieniasz, zżymał się, podjudzał brata, bezskutecznie jednak. Przeznany kasztelan pory właściwej czekał.

Tak rzeczy stały, gdy razu pewnego wezwanie otrzymał od króla, żeby się w Płocku, na dworze jego stawiał.

— Ani chybi, w sprawie Okszowej znów co usłyszę — rzekł odrazu. — Wiem, że do Płocka z córką jeździły, tedy nie z inszą potrzebą, jeno z lamentem przeciwko mnie.

— Niewątpliwie... — potwierdził Skorupa. — Słyszę nawet, że pani Bogusława przechwalała się, jako wasza cześć tak poskromionym wróci, iż wam się raz na zawsze napastować ją odechce.

— Ho! ho! — rozśmiał się Bolesta — może się dla mnie o topór i kata wystarała.?!

— Prędzej o zgubę dla siebie — wtrącił przebiegle Skorupa.

Jakoż nie mylił się kasztelan. Pani Bogusława opiece króla wdowieństwo swoje poleciła, prośbę zaś jej usilnie poparł, w pokrewności z nią będący, biskup płocki Werner.

Król, chcąc upokorzyć kasztelana, kilka dni mu na posłuchanie czekać kazał; nadto przyjął go nie jak zwyczaj, poufnie, w cztery oczy,



lecz w obecności dostojników duchownych i świeckich, pomiędzy którymi znajdował się słynący ze świętobliwości i dużego rozumu biskup Werner. Odczuł butny człowiek upokorzenie, lecz starał się nie okazać tego po sobie. Powitał króla swobodnie, bez uniżoności, zbyt śmiało nawet, co się Bolesławowi, acz był wielce wyrozumiały, podobać nie mogło.

— Stawam na rozkazy — odezwał się Bolesta. — Musiało się coś ważnego przytrafić, skoro pan miłościwy w takiej porze wezwać mnie raczył.

To mówiąc, wzrokiem po zgromadzonych rzucał, a widząc twarze surowe, nachmurzone, sam też czoło zmarszczył, swobody jednak i pewnością siebie nie tracąc.

Król przez chwilę oczyma go mierzył, wreszcie rzekł, o to potracając, że Bolesta nie odrazu na wezwanie pośpieszył:

— Dla sprawy istotnie ważnej was powołałem, kasztelanie i dziwno mi, żeście z przybyciem się opóźnili.

— Aliści jestem... — na to Bolesta bez zmieszania.

— Spodziewałem się, że więcej pilności dla rozkazu królewskiego okażecie — przerwał król. — Mniejsza zresztą o to; proszę was jeno, żebyście na przyszłość skwapliwiej życzenia moje wypełniali...

— Trudno mi się z ziemi, mojej baczności powierzonej, w takiej porze wyruszać, miłościwy panie...

— Drugi już raz nadmieniacie, iżem was w porze niewłaściwej powołał... Dlaczego?

— W ziemi wiskiej czuwać trza zawsze dniem i nocą, bo z Prusami żartów niema. Dybią oni ustawicznie na sposobność grabieży, a teraz, po zadaniu nam klęski tak srogiej, więcej niż kiedykolwiek stali się zuchwałymi.

Ubodło Bolesława przypomnienie doznanej porażki, poruszył się na siedzeniu królewskim.

— Macie słuszność kasztelanie, oka z tych przeniewierców spuszczać nie można — rzekł powoli. — Wy jednak, miasto całą uwagę na nich wyteżyć, częstokroć w inszą ją zwracacie stronę.

— Widzę, że wezwany zostałem, jako oskarżony... — rzucił Bolesta stłumionym głosem.

— Tak jest, kasztelanie — potwierdził król z naciskiem.

— Któż mi winę zarzuca i jaką? Ja się do żadnej nie poczuwam... — miną nadrabiając, podchwycił Bolesta.

— Do żadnej? — powtórzył król.

— Jako żywo! Łaską się waszą cieszę, miłościwy panie, zaufaniem, a nie wszystkim to się podoba, jak również, że sprawiedliwie rządy sprawuję. Każdy ma wrogów, ten zaś najwięcej, kogo łaska pańska wywyższa..



— Bez ogródek, kasztelanie! — przerwał król. — Wywyższyłem was i zaufaniem obdarzyłem, gdyż oceniam przymioty wasze. Do pewnego też stopnia zaufaniu memu odpowiadacie, ale nie ze wszystkim...

— Gorzkie słowa, miłościwy panie, nie zasłużyłem na nie... — sarknął Bolesta.

— Zarzucacie mi kłamstwo?

— Nie wam, miłościwy panie, jeno oskarżycielom moim!

— Pozwól, miłościwy panie — odezwał się biskup Werner — żebym ja oskarżenia powtórzył.

Nienawistnym wzrokiem przeszył sędziwego pasterza Bolesta, Werner zaś, nie zważając na to, łagodnie, z namaszczeniem mówić począł:

— Kasztelanie... znamy męstwo wasze, przezorność i bystrość umysłu; wiemy, że macie dłoń żelazną, jakiej właśnie dla zarządu ziemią wizką potrzeba: lecz wiemy też, że dajecie się powodować krewkości, która was na bezdroża prowadzi, ludzi krzywdzi, od Boga, od wiary świętej odwraca... Uczy wiernych Paweł Święty: „Podług zatwardziałości twojej i serca niepokutującego, skarbisz sobie samemu gniew na dzień gniewu i objawienia sądu Bożego, który odda każdemu wedle uczynków jego. Tym, którzy przez wytrwanie w uczynku dobrym szukają sławy, i czci, i nieskazitelności, odda żywot wieczny. A zaś swarliwym i prawdzie nieposłusznym, lecz posłusznym niesprawiedliwości, odda zapalczywość i gniew“... Wy, kasztelanie, nie zawsze na prawdę, na sprawiedliwość baczyście, przeto odwracają się od was serca ludzkie, skarbicie dla siebie nie łaskę Bożą, lecz gniew Boży...

— Na długie kazanie się zanosi! — mruknął Bolesta.

— Bo też długim jest poczet grzechów waszych. Wyliczać ich nie będę wszystkich, wspomnę tylko o waszej upornej zawziętości, jaką sąsiadom najbliższym okazujecie. Co wam zawinił Sulisław Oksza, którego chlubną śmierć na polu walki nalazł, żeście go, gdy żył, ustawicznie prześladowali? Co wam zawiniła wdowa po nim i córka, że im również spokoju nie dajecie? Pan nasz miłościwy niejednokrotnie był zmuszony za Sulisławem się ujmować, a w tej chwili, przez usta moje, o krzywdę osieroconej przez niego rodziny się upomina. Przyznajcie sami, kasztelanie: godziż się dla sąsiadów, jeszcze dla wdowy i sieroty, cierniem i bolączką być? Z ramienia pana miłościwego w wizkiej ziemi siedzicie, żeby sprawiedliwość rozdzielać, tarczą i obroną tamtejszych mieszkańców być; a o to przed majestat królewski łzy krzywdzonych przez was płyną?! Przeniewierstwo to z waszej strony, kasztelanie, grzech na karę surową zasługujący...

— Z daleka inaczej się przedstawiają rzeczy — odezwał się Bolesta, wciąż przy bucie się utrzymując. — Nieboszczyk Oksza sam zgo-

dy sąsiedzkiej nie chciał, a pani Bogusława i jej córka nietylko życzliwość moją odtrąciły, lecz jeszcze jak ostatniego mnie przyjęły, gdy ją ofiarował.

— Możecie-li zaprzysiądz, jako wina nie po waszej, ale po ich stronie? — zapytał biskup. — Możecie z dłonią na Ewangelii powiedzieć: że nie trapiacie ich napastliwie? że im nie grozicie srogą odpłatą, za jaką-wąś urojoną zniewagę?

— Słowom moim wierzyć można, starczą one za przysięgę!

— Fałszywe są wasze słowa, kasztelanie! — surowo przerwał pasterz. — Opamiętajcie się, wejrzyjcie w siebie, w postęпки swoje...

— Do spraw moich domowych, do stosunków z sąsiady, nikt nie jest mocen zazierać! — zawołał dumnie Bolesta.

— Dopóki sprawy owe w grzech nie przechodzą, w krzywdę, w gorszycielstwo. Jeżeli takimi się stają, obowiązkiem każdego upomnieć grzesznika; a jeśli mimo upomnień w zatwardziałości swej trwać będzie, sprawiedliwości wezwać, iżby go, gwoili przykładowi innych, należnie ukarała.

— Wielebność wasza tak mnie przedstawia, jakoby mi jeno dyby i szubienica przypadały... A wszakcím ja sroce z pod skrzydła się nie wysunął, z rodu zacnego się wywodzę, któren dla ojczyzny krwi i mie-nia nie szczędził... Sam też, bez przechwałek mówiący, rad życie, gdy potrza, narażam, o czem chyba każdemu wiadomo... Król nasz miłościwy wie snąć, ile wartam, skoro mnie z pomiędzy tyla godnych wyróżnił i ochronę pogranicza zaufał...

— Nikt wam też, kasztelanie, ani godności ujmuje, ani zalet przeczy — ozwał się Kędzior zniecierpliwiony — trudno jednak na zdrożności, miarę przechodzące, oczy zamykać...

— Panie nasz miłościwy... uważam, iż zwykły swar sąsiedzki języki zawistne w złem dla mnie przedstawiły świetle — przerwał Bolesta, wargi niemal do krwi przygryzając, bo burza pierś mu już rozsadzała, ile że go w obecności liczного zgromadzenia strofowano. — Domagałem się od Sulisława Okszy, iżby mi się z Zagórza ustąpił, prawda jest, ale jeno dlatego, że umyśliłem tam gródek wznieść, z którego łączniejby mi przyszło obroty pogaństwa uważać. Nie darowiznym żądał, ale zamiany, bądź przedaży. Z wdową równie się na taki ład zmówić chciałem, a ona zaraz do mnie z jeżem.

Biskup dłonią wstrząsnął

— Nie silcie się, kasztelanie, na kłamstwo, grzechów na szalę swoją nie przysparzajcie — rzekł. — Dla uważania obrotów pogaństwa Zagórze wam nie potrzebne, jedno dla żeremiów bobrowych, które tam są, a których w waszych włościach niema; najwięcej zaś dla skarbów niezmiernych, które pono (jak starzy ludzie prawią) mają tam być za-

kopane. Szpetną zawždy jest chciwość, tembardziej w człeku, jak wy, co w dostatkach wszelakich opływa.

Skręcił się na miejscu kasztelan, za brodę szarpnął i wyrzucił chrapliwie te słowa:

— Znęćacie się nade mną, biskupie, urażacie mi srodze... Gdybym na miejsce nie uważał...

Urwał i stał dysząc ciężko, a oczyma groźnie i zuchwale pasterza wiercił. Ten obawy ani zagniewania nie okazywał: spokojnie wytrzymywał piorunujące spojrzenia.

— Opuścić lepiej Bolestę — ozwał się do króla któryś z panów radnych — źle mu patrzy z oczu; gotów obelżywem słowem na jego wielebność rzucić, czego my nie ścierpim.

Chciał Bolestaw coś powiedzieć, lecz uprzedził go Werner, głosem łagodnym, słodczy pełnym i dobrośliwości mówiąc:

— Spodziewane to było, że upomnienia, miasto sumienie wasze, kasztelanie, poruszyć, ducha złych namiętności poruszą. Jakoż występujecie w obronie swojej nie ze skrucą, nie z przyznaniem się do winy: lecz z fałszem, z pychą, z groźbą nawet. Nie ulęknie się gróźb waszych nikt, a tembardziej ja, kapłan, duszpasterz. I nietylko na one pogroźki wasze zważać nie będę, ale powiem, że krzywdzenie Okszów nie stanowi jedyne go waszego grzechu. Wiele, wiele inszych na duszy waszej ciąży, kasztelanie! To prawda, że ród wasz starodawny, godny, możny i zasłużony; to prawda, żeście i wy dla ojczyzny zasługi znaczne położyli; prawda, że rycerz z was osobiwego męstwa i sprawności; że rozum wasz bystry, ścigły, przezorny. Ale komu więcej od Boga dano, od tego więcej ludziom się należy. Tymczasem—jakże postępujecie, kasztelanie? Pan nasz miłościwy wszelkiem zaufaniem was darzy, godności macie wysokie i wyniesienie nad innych: wy zaś miasto, szanując te łaski, na godność rodową, na obowiązki zawsze mieć oczy zwrócone i przykładem jaśnieć — wy, powiadam, zielska zgorszenia dusznego krzewicie. Na Okszów, przez chciwość, zawzięliście się osobiwie twardo, lecz po za tem wiele inszych ludzi od waszej chciwości pychy, gwałtowności cierpi. Nie darowujecie nawet sługom Bożym, sługom ołtarza, bo — zgroza pomyśleć! — o zbawienie duszne nie dbacie, często popadacie w bluźnierstwa iście odszczepieńcze...

Głos świętobliwego pasterza coraz poważniejszym się stawał, brzmiał, jak natchniony, lecz na Bolestę wpływu pożądanego nie wywierał, odbijał się o uszy jego, niby o puklerz stalowy, do serca nie przenikając, natomiast coraz bardziej go jątrzył i burzył. Znać to było po jego postawie, po jego licach krwią nabiegłych, po ruchach kurczowych, gwałtownych, chociaż się widocznie strzymywał. Biskup nie zważając na to, dalej prowadził:



— Czas, czas wielki, kasztelanie, iżbyście do opamiętania przyśli. Jako pasterz duszy waszej, jako ojciec wasz duchowny powiadam: odpędźcie od siebie szatana, któren się na zgubę waszą nasadził, weźmijcie Boga w serce, zwróćcie się do Niego. Uśłuchajcie tej rady mojej serdecznej, nie ważcie jej lekko. Pomnijcie, na zbawienie duszne; pomnijcie, że złe wasze uczynki Chrystusa powtórnie krzyżują... A wiedzieć, że jeśli rada moja, prośba moja nic nie skuraja, natenczas...

— Natenczas? — powtórzył szyderczo Bolesta.

— Natenczas chwyć się bolesnego obowiązku, chwyć się broni, jaką mi daje Kościół święty, a matka nasza przeciwko zakamieniałemu grzechowi.

— Jakaż to broń? — zapytał Bolesta drwiąco.

— Kłątwa! Odłączenie od społeczności chrześcijańskiej, od Kościoła Bożego! — rzekł biskup surowo.

Na te słowa dreszcz przeszedł wszystkich, Kędzior nawet pobladł, głowę nachylił i przeżegnał się. Lecz Bolesta nie okazał i tym razem pomieszaną.

— Jużćie może wielebność wasza tak daleko nie sięgnie! — rzekł, do śmiechu się przymuszając. — Wysłuchałem obwinienia cierpliwie, chociaż nie uważam po sobie grzechów tylu i takich, i chociaż wasza wielebność nie raczył w rachubę tego wziąć, że nie do pacholęcia ani człeka niskiego stanu przemawia...

— Wobec Boga wszyscy ludzie są równi, a grzech więcej obciąża możniejszych, niż maluczkich—wtrącił Werner.

— Grzech prawdziwy! — przerwał szparko Bolesta. — Ale rzekłem już i powtarzam, że grzechu na sobie nie czuję! Tak, nie czuję. Zazdroszczą mi ludzie, zawidzą łaski pańskiej, ufności, zawidzą dostojęstwa i dóbr; trudno im znieść, że ich trzymam w posłuchu: oto dlaczego baśni o mnie rozpuszczają, przedstawiając jako ciemieżyciela i gwałtownika. Zwyczajna rzecz. Zawieść na wszystko się waży.

— A Okszowa? — zagabnął biskup.

— Jużem wyłożył, co z Okszami mam. Sąsiedzka waśń, nic nadto. Trudno, w leciech jestem takich, że natury mi nie zmienić. Jakim jest, do zgonu ostane. Uważa-li król a pan miłościwy, że kasztelaństwa i rządcostwa nie godzien — niechże weźmie te godności. Bez żalu je oddam, z ochotą, bo odpowiedzialności, trudu i niebezpieczeństwa się zbęde. Mniemam, że nie zginę bez onych dostojęstw, które mi nic nie przynoszą, nad zawieść i niesprawiedliwe posądzenia.

To rzekłszy, dumnie oczyma po zgromadzonych potoczył.

— Wybijcie sobie z głowy — ozwał się Bolesław — iżbyśmy wam odjąć godności zamyślali. Upomnienie ojcowskie nikogo nie krzywdzi; dobrem sercem je przyjmijcie, rozważcie należnie i to sprawcie,



aby nadal na was się nie skarżono. Ano, niechaj dość będzie temu. Idźcie wypocząć, a potem do stołu was proszę. O frasunkach pogwarzym, których się co niemiara nazbierało.

Łaskawie głową kasztelanowi skinął i odszedł, poprzedzany przez komorników, Bolesta zaś, nie spojrzawszy nawet na biskupa, do gospody się udał.

— Do stołu mnie zaprasza! — mruczał w drodze — do stołu, kiedy mnie po gardziel żółcią i piotunem nasycił.. A! ten malowany król! Misy mu a dzbany z gliny toczyć, a nie nad rycerskim narodem panować. Marnieje krew Piastowa! Nie rodzą się Chrobrzy i Krzywouści! Ten-ci naprzykład: rycerstwo wygubił, krainę Prusów, już opanowaną, stracił, a dlaczego? Bo stan rycerski w poniżeniu trzyma, a przed biskupy i wszelkimi klechy, niby ogar waruje.

Tęgi król! tęgi pan! Ci klesi... wszystko złe przez nich! Jedno modlić się, w piersi bić, bliźnich miłować, o zbawienie duszne skamlać do Boga każą, co wszystko serca rozmiękcza i naturę rycerską gubi... A on Werner — najgorszy! Klątwą mi zagroził, od społeczności chrześcijańskiej odłączeniem... ha! ha! wiela o to dbam!

Wmawiał w siebie zawzięty i niecnotliwy człek, że go słowa i zagrożenia biskupa nie obeszły, ale inaczej było w rzeczy samej. Upomnienia pasterskie wciąż mu brzmiały w uszach, zagrożenie zaś klątwą, trwogą go przejęło. Wszakże to wszystko na niewdzięczny grunt upadło — zamiast skruchy, wywołało zacieklejszą oporność i zemsty pragnienie.

On — kasztelan i rządcą całej ziemi wizkiej; on — jednego z najmniejszych rodów potomek; on — który wyżej jeszcze sięgał i był pewien, że nie dziś, to jutro marzenia jego się spełnią: doznał takiej sromoty, takiego upokorzenia. Król nie był tu winowaty, jeno biskup. Okszowa podjudziła go, podmówiła, a biskup, w pokrewności z nią będąc, z kolei króla zbuntował..

Tak rozmyślał Bolesta, a przypomniawszy sobie, że Werner już niejednokrotnie go strofował, w obronie uciemiężonych przez niego księży i ludzi świeckich stając, coraz większą zawziętością przeciwko niemu wzbierał i zaprzysięgał grzesznie w duszy, że mu tego nie daruje, że za upokorzenia, osobiście ono ostatnie, publiczne, setnie mu się odplaci.

Jakby dla podsycenia złej namiętności, spotkał Dziwisza, sędziwego cześnika królewskiego, któren, spostrzegłszy go, z drogi mu chciał zejść.

— Ano, Dziwiszu — rzekł Bolesta, stając naprzeciw — zali mnie nie poznajecie, że się precz pomykacie? Co?

— Bo po licach waszych uważam, żeście kwaśni — odparł Dziwisz, z pod oka na niego patrząc — a wiadomo, że w takim usposobieniu lepiej was nie zaczepiać.

— To widzę — z przekąsem mruknął Bolesta — z biskupem trzymacie... I was podjudził ten klecha!

Dziwisz podniósł głowę, spochmurniał i ozwał się z przestrogą w głosie:

— Nie ważcie się uchybiać Wernerowi! Mąż święty jest, niepokalani. Miłować go jeno a czcić...

Śmiać się począł Bolesta.

— Także! — zawołał uragliwie. — Ho! ho! kaducznie was opętał biskup... Święty! Niepokalani! Gotowicie może wszyscy, król i dwór cały, za jego przykładem idąc, z orężem się rozstać i klesze przywdziać szaty! Tożby dopiero było!

— Co zaś! — ramionami wzruszył Dziwisz. — Lepiejbyście nie-słusznych złości się wyzbyli i radę pasterza wdzięcznie przyjąwszy, stosowali się do niej. Na zdrowie poszłoby to i wam, i całej ziemi wiskiej.

— Nie mówiłem! — śmiał się wciąż Bolesta zjadliwie. — Do cna was opętał ten lis! Bo Werner to lis! Lis powiadam, chytrota jakich szukać... Słyszycie? Ja wam to powiadam!

— Nie godzi mi się słów takich słuchać, bluźniercze są... — przewrwał Dziwisz skwapliwie. — Wszyscy naokół Wenera miłujem i czcimy, bo mąż prawdziwie Boży jest, wybraniec święty. Nikt inaczej nie powie.

Odszedł Dziwisz, a Bolesta rzucił za nim wzrokiem, w którym *wściekłość się przebijająca, splunął pogardliwie, szybkim krokiem do gospody przybiegł i piorunującym głosem ludziom swoim rozkazał:*

— W konie! Żebym mignienia oka nie czekał, bo rozszarpię pierwszego lepszego!

---

## V.

Zawždy jeździł z licznym pocztem Bolesta, a do Płocka jeszcze gromadniej się wybrał, ile że możliwością chciał się upawić w oczach królewskiego dworu. Miał tedy przy sobie dworzan przedniejszych z górą dziesiątek, a czeladzi do dwóch dziesiątków, wszyscy zaś byli przystrojeni jaskrawie, lśniście i zbrojno, jak na uroczystość jaką lub na wyprawę rycerską. W gromadzie onej nie brakło Skorupy, bo bez niego czuł się kasztelan, jak bez ręki.

Na rzeszę oną rozkaz odjazdu z Płocka spadł niespodzianie; Niemali, że kasztelan chociaż dni kilka w Płocku zabawi, jak to się zwykłe działo, czemu byliby radzi, bo miody stolicy mazowieckiej słynęły

naokół, a i piwa były dziwnie smakowite, przytem nowin można było w tak ruchliwym mieście co niemiara nachwytać; więc też odjazd nagły nie w smak im poszedł, ten i ów sarknął, ale cichaczem, strzegąc się, żeby niezadowolenie baczności srogiego pana nie doszło.

Płock opuścili już dobrze z południa. Kasztelan z początku konia parł z całej mocy, ale, że dzień był skwarny, musiał rychle szalonej jazdy zaniechać, bo i rumak, acz wytrzymały, o to się domagał. Gdy się to stało, odsapnął kasztelan, rozejrzał się dokoła, jakby ze snu nagle przebudzony i szepnął do siebie, snać kończąc wątek w duchu snutych myśli:

— Nie ujdzie to ani biskupowi, ani onej kwoce jękliwej! Poznają, co może i znaczy Bolesta, wizkiej ziemi pan... Nauczę ich! Popamiętają!

Rzucił okiem za siebie, a dojrawszy Skorupę, skinął na niego:

— Oto jak nas przyjęli w Płocku, jak ugościli?! Co? — rzekł, gdy zausznik przybliżył się z koniem.

— Widzi mi się — bąknął nieśmiało Skorupa — że waszą cześć przygoda niemiła spotkać musiała...

— Przygoda niemiła. Ty powiadasz: „przygoda niemiła...” — zachnął się na siodle kasztelan — A ja tobie powiadam: pohańbienie mnie spotkało, srom...

— Być nie może! — oburzył się rzekomo Skorupa.

— Co nie może! — przerwał Bolesta gwałtownie. — Jak śmiesz mi przeczyć, rabie ty?! Zaliś się z nimi zwąchał?

Umknął się Skorupa z koniem nieco i szepnął pokornie:

— Czyżbym śmiał w myśli nawet waszej cześci przeczyć? Oto podziw mnie ogarnął, gdym słowa wasze usłyszał. Pohańbienie? srom? Uszom nie wierzę!

— Wierz, bo stało się, jak powiadam — mówił spokojniej nieco Bolesta. — Wiedziałem, po co Kędzior mnie wzywa, alem się nigdy w życiu nie spodział, żeby mi takie poniżenie zgotowano... A wiesz, kto temu wszystkiemu przyczyną? On... ten święty! ten biskup! Werner.

— Dla Boga, znów waszą cześć zaczepił?

— I jak jeszcze zaczepił! Ale nie ujdzie mu to na sucho. Za wiele sobie pozwolił, przebrał miarę: dobódł mi, dobodę też jemu, we znaki się dam, aż mu święta jego skóra ścierpnie...

— Z biskupem ciężka sprawa — szepnął, jakby do siebie Skorupa.

— Ciężka może być dla kogo inszego, ale nie dla mnie! — ofuknął go kasztelan. — Dla mnie biskup stracha nie stanowi, chociaż nazywają go świętym, mocą jakąś nadzwyczajną obdarzonym... Święty...



prędzej może czarownik, z szatanem trzymający, boć pono do szatana przystęp i pokumanie się z nim łacniejsze, niż z Panem Bogiem. I niechybnie, że zarówno on, jak i wszystkie klechy czarnego trzymają się kunsztu, czarami bałamuca świat, po nad inszych, nawet po nad stan rycerski się wznoszą.. Nienawistne plemię! Zgnieść-by ich, do ziemi przygiąć, grozę nad nimi rozciągnąć, wnetby inaczej śpiewali! A tak, co? Pierwsze zajmują miejsca, głos ich narówni z królewskim, ba! więcej od niego waży, na wstyd i zesromanie słusznego rycerstwa... Jak-że naród w potęgę ma wzrastać i w postrachu utrzymywać sąsiady, jeśli dwie głowy nim rządzą, a przewagę ma klesza, ducha rycerskiego ani sztuki orężnej nie posiadająca? Psu się zdały takie rządy, porządki takie... Inaczej poczynalbym ja. Klechy niechby sobie zarządzili u ołtarza, ale do inszych spraw — wara! Takbym nakazał i byłby ład.

Skorupa, słuchając słów bluźnierczych, dorozumiał się łączno, że panu jego coś niezwykajnego przytrafić się musiało, atoli, chociaż go ciekawość piekła, język za zębami trzymał, wiedząc, że w takim usposobieniu wdawać się z kasztelanem zdradno. Więc jeno słuchał i w pamięci słyszane zapisywał.

A Bolesta, ulgę wzburzeniu czyniąc, dalej się rozwodził:

— Byłby ład z pewnością. Naprzód zaś Wernerabym skruszył. Mielnik ze mnie sprawny, żarnabym dla niego nalazł. I teraz najdę. Klątwa wojuje, ja się do swojej broni wezmę. Obaczym, kto wygra! Ma on swoje popleczniki: króla, jego rajców przemądrych i inszych wiele — u mnie też popleczników nie zbraknie. Zechcę — całą Prusów krainę poruszę, a i do Jaćwieży znam drogę. Obaczym, kto wygra...

Nagle do Skorupy się zwrócił:

— Jak myślisz: zdzierzę-li Wernerowi, jeśli do czego przyjdzie? Zausznik głową pokręcił.

— Silny jest biskup, wszyscy za nim stoją, ale niechby lepiej z waszą miłością nie zaczynał... — odparł półgłosem.

— Wiele o sile swojej śnać mniema, skoro już zaczął — rzekł Bolesta ponuro. — Wiesz... wyklęty mam być i ze społeczności chrześcijańskiej wytracony, jeśli przed jego wielebnością nie ukorzę...

Roześmiał się szyderczo.

Tym razem naprawdę Skorupa się zdumiał i nieco zatrwożył.

— Biskup tak waszej cześci zagroził? — odezwał się niepewnie.

— Całkiem wyraźnie i do tego przy królu, przy wszystkich panach koronnych... Śmiały, co?

Skorupa odpowiedzi nie znachodził, jeno wciąż głową potrząsał.

— Ano, będziem wojowali — krotochwilił kasztelan — on swoją mocą kleszą, ja rycerską. Pokaże się, komu ono wojowanie się uprzykrzy. Że nie mnie — toć pewna.

— To chyba pani Okszowa biskupa na waszą cześć nasadziła, ująwszy go sobie pokrewnością... — wtrącił zausznik.

— Rozumie się, że ona. To też przyjdzie mi wojnę prowadzić na dwie strony: z nim i z nią. Ale sprawię się z nimi krótko, zanim się opatrzą.

Jechali czas pewien w milczeniu, naraz, Bolesta, konia wstrzymując zapytał:

— Co to za włość? Czyja?

Skorupa, znający te strony doskonale, bo z tych okolic pochodził, odparł skwapliwie:

— Zowie się Karsko. Dziedziczność jest biskupa, ale pono Werner i ja, i wszystkie insze, po rodzicielach odziedziczone, kościołowi płockiemu oddał.

Bolesta poruszył się na siodle, w oczach jego błyski złowrogie się zatliły.

— Biskupa, mówisz, dziedziczność? — znów zagabnął.

— Dobrze wiem, że tak. Piękna włość, rozległa, zboża się tu rodzą dziwnie pełne, a co zwierza w lasach, a jakie barcie... Istna to perła między włościami... — chwalił Skorupa.

— A kto tu rządzi?

— Tegom nieświadom. Juściż musiał biskup kogo tu posadzić.

Namyślał się czegoś kasztelan, poczem rzekł głośno do swoich:

— Nie biskupia to włość, ani kościelna, jedno moja. Trza o tem zarządcy i kmieciom rozpowiedzieć, żeby mi dobro na cudzą stronę nie szło. Biskup ma wszystkiego wyżej uszu, kościół płocki też. Zajrzym tu. Skoro tylko wrota nam otworzą, śpichlerze odszukać, także szopy z końmi i bydlęm, wszystko zająć. Ja we dworze się sprawię. Jasnom wyłożył?

— Rozumiemy — odparli dworzanie i czeladź w jeden głos.

— Ma być, jak powiedziałem! Tłómaczeń nie słuchać. Któryby z ludzi opór stawiał, w dyby i do mnie.

— Stanie się!

Pociągnął Bolesta do Karska, włości rozległej i bogatej, która, jak powiedział Skorupa, istotnie dziedziczną biskupa Wernera była, a z której świętobliwy pasterz na rzecz kościoła się wyzuł. Dwór włości onej, jak zgoła wszystkie dwory ziemiańskie, rowami nawodnionemi i wałem wysokim był opasany, broniły go nadto mosty zwodzone i bramy silnie opatrzone. Nad przednią, z okienka, wyglądał strażnik, który, drużynę kasztelańską zoczywszy, w róg zadał, znać do dworu dając. Kasztelan opowiedział się, jako do zarządcy Karska ma sprawę, tedy mu bramę otworzono, nic złego nie przewidując. Ale skoro się tylko po za bra-

mą znalazł, skinął na swoich, ci zaś, do polecenia się stosując, rozbiegli się na wsze strony, zajmując włość, niby swoją. Rozległy się krzyki trwożne i wrzaski grózb, w spokojnem ograniczeniu zaroilo się, zawrzało, zakotłowało. Bolesta podtenczas do dworu się zbliżył, lecz nie wszedł, ale przystanął na stopniach kamiennych i patrzył, jak ludzie rozkaz jego spełniają.

Krzyki i zamęt wywabiły z dworu męża duchownego, nie pierwszej młodości, postawy szacunek nakazującej, który zmierzył naprzód okiem zdumionem kasztelana, a potem, widząc, co się w obejściu dzieje, zawołał z oburzeniem:

— Co to znaczy?

— Spokojnie, ojcie, nic się tu strasznego nie tworzy, jeno to, com ja nakazał — rzekł Bolesta.

— Ale kto wy jesteście? Jak śmiecie? Jakiem prawem?

— A wy kto jesteście?

— Ja tu z ramienia dostojnego pasterza, biskupa Wernera, zarządzam. Waclaw jestem, sługa Boży, kapłan, jako po szatach widzicie, a to dobra kościelne.

Uśmiechnął się kasztelan:

— Jesteście pewni, że kościelne? — zapytał.

— Jakże pewni! — odparł niecierpliwie ks. Waclaw. — Oto wyjaśnijcie lepiej, co znaczy to wszystko?

Wówczas Bolesta, kładąc dłoń na ramieniu księdza, rzekł powoli, z naciskiem:

— To znaczy, klecho, że ta włość moją jest od tej chwili, Bolesty, kasztelana i zarządcy ziemi wizkiej. Słyszysz?

Mówiąc tak, wstrząsał ramieniem księdza i wzroku groźnego zeń nie spuszczał.

— Na Boga Wszechmocnego! Na Pannę Bożą Rodzicielkę! Na Świętych Patronów... jakże to może być? — zawołał ks. Waclaw coraz więcej zdumiony. — Zali jego dostojność, pasterz nasz, włość tę wam ustąpił? Niepodobna...

— Ani słowa, klecho! — przerwał kasztelan. — Włość zajmuję, bo moja, a ty... nie masz tu co robić. Zabieraj swoje szmaty, umykaj stąd. Niecierpię klechów. Do swego biskupa idź, powiedz mu, że Bolesta, wizkiej ziemi pan, włość swoją odebrał. A niech biskup nie wazy się mnie niepokoić, tego żadną miarą nie zniosę...

Popatrzył ks. Waclaw przez chwilę na Bolestę, westchnął i rzekł:

— Ustępuję przed gwałtem i przemocą. Chytrością tutaj dostaliście się, kasztelanie, bo inaczej nie kazałbym był wrót wam otworzyć i broniłbym dobra kościelnego do ostatka, chociażem tylko sługa ołtarza, nie wojownik...



— Bez kazań klecho! Bez nauk!

— Wiem-ci, wiem, że pan wizki w bezbożności żyje, Bogu bluźni, kapłanów krzywdzi, wiary świętej nie dochowuje — mówił ks. Wacław, ze smutkiem na Bolestę poglądając. — Tedy nie siłę się na nawrócenie w grzechach uwieźlej jego duszy, na poruszenie skamieniałego w nieprawościach serca. Ustępuję, ale powiadam wam, kasztelanie, że świętokradztwo na dobre wam nie wyjdzie. Bóg nierychliwy, lecz sprawiedliwy, On spuści na was prawicę swoją, On was dotknie..

Zagarnął Bolestę Karsko bez trudności, bez oporu niemal. Nikt we włości nie przewidywał gwałtu — rozwarto przed nim i jego orszakiem wrota z dobrą wiarą, gościnnie, boć zdawali się być ludźmi spokojnymi. To też wilk snadnie do owczarni się dostawszy, nią owładnął. Mogło się wprawdzie Karsko łatwo obronić, gdyby uprzedzone było o złych zamiarach kasztelana, gdyż ludzi posiadało i broni podostatkiem; ale zanim ludzie owi zdali sobie sprawę z tego, co się dzieje, już kasztelańscy rozgospodarowali się na dobre. Tych, którzy usiłowali się opierać, powrozami skępowano lub w dyby ujęto, a przykładem srogim strwożeni pozostali, zdali się na łaskę i niełaskę gwałtowników.

Ks. Wacław niezwłocznie Karsko opuścił i pieszo ku Płockowi powędrował; kasztelan również długo w zagarniętej włości nie bawił — obejrzawszy śpichlerze i komory, dobro wszelkie na wozy ładować kazał i do Wizny wieźć; poczem zdał rządy Karska Zbilutowi, jednemu z najswawolniejszych dworzan swoich, ludzi mu zostawił dwa dziesiątki, sam zaś również do Wizny pociągnął.

Zbilut miał surowe nakazanie trzymać się w Karsku całą mocą.

— Biskup cię tu oblegać nie będzie, ale nieomylnie posłów będzie nasyłał. Żebyś żadnych wezwań ani nakazów nie słuchał, pamiętaj. Jeny mnie znasz, moje nakazy. Tak odpowiadaj. Posły biskupie do mnie odprawiaj. Włość moja, o niczem więcej nie wiesz.

— A gdyby król swoich przysłał? — zagadnął Zbilut.

— Król? — powtórzył Bolestę. — Prawda, może się to stać. Ano... i królewskim mnie wskaż. Ciebie nie obchodzi nic, niczegoś nie świadom. Zaczepią cię królewscy, zęby pokażą (choć nie uważam, żeby Kędzior do tego się posunął) broń się, trzymaj i mnie znać dawaj.

Za wrotami Karska się znalazłszy, Bolestę uśmiechnął się dumnie.

— Początek odpłaty uczyniony — rzekł do Skorupy. — Chciwość mi zarzucał przy wszystkich, nie trza, żeby taki, jako on święty się mylił. Wszakże, mówię, że to dopiero początek, bo Sulisławowej także się coś należy.

— Werner burzę wywoła, jakbym wiedział — mruknął Skorupa.

— Pewnie, że wywoła. Będzie zażywał wszelkich sposobów, będzie podchodził ze wszech stron, aleć to ze mną sprawa...

— Król... — szepnął zauszniak.

— Co król? Wiem, że i z nim będę miał do czynienia, głowę jednak na karku mam nie tylko do noszenia kołpaka... Powiem, żeby na inny czas sprawę odłożył, bo mi się pod boki Prusowie burzą i tyle... Obrona kraju rzecz pilniejsza, niż swary wewnętrzne. Już ci ja przy Karsku ostanę, powiadam tobie, a mniemam, że z Zagórzem również gładko mi pójdzie. Bo już na nic nie będę zważał. Nadto mi ona kwoka, Sulisławowa, dojadła i jej święty obrońca, biskup.

Dobrej myśli był kasztelan, pewnym siebie, jak gdyby jakiej godziwej rzeczy dokonał. Przybywszy do zamku wiskiego, zbudził Bieniasza, który chrapał, więcej nadmiarem trunku niż znużeniem zmorzony i w te słowa do niego zagadał:

— Ano, tośmy wojnę rozpoczęli.

Bieniasz oczy tarł, przeciągał się, krzywił, nierad, że mu brat sen miły przerwał. To też mruknął niechętnie:

— Znowu wojna? Z kim? Gdzie? Zali wróg już zamku dobył i miecz przy gardzieli trzyma, że mi chwili wypoczynku wzbraniaś?

— Opoju ty! — fuknął Bolesta, lecz tym razem żartobliwie. — Nie tylko pozór masz maruchy, ale i naturę misia, co to jeno ogląda się za barcią, a wygarnawszy z niej miód, dalejże na barłóg i chrapi...

— Oho! — ziewnął Bieniasz — musiało ci w Płocku pójść gładko, skoro z krotoczwilą występujesz.

Kasztelan brwi ściągnął.

— Juśció! — rzekł ponuro. — Poszło mi, jak nigdy, bo mi Kędzior w oczach całego dworu nadogryzał i naprzymawiał, a święty biskup do pogroźek się posunął...

— Zaś! — ździwił się Bieniasz.

— Mówię przecież! — rzucił niecierpliwie Bolesta, poczem rozpoznał bratu, co go u króla spotkało, lecz tak opowieść ubarwił, że wyszło, jakoby go biskup, z poduszczenia Okszowej, najciężej w świecie znieważył.

— No, no! — dziwował się Bieniasz, głową kiwając — niesłychane rzeczy... I tyś to mógł znieść? We łbie mi się pomieścić nie może...

— W długum nie pozostał, językam nie hamował, powiedziałem wyraźnie: że do spraw moich nikomu wtrącać się nie pozwolę...

— Sprawiedliwieś powiedział!

— A jako groźby biskupie poczytałem za wypowiedzenie wojny, tedy już zacząłem obronę.

— Gadajże, bom ciekaw.

Milczał przez chwilę Bolesta, następnie zagadnął:

— Wiesz może, iż w dawnych leciech włość Karsko do naszego rodu należała?

— Nie wiem.

— Należała, mówię. Pono za Chrobrego, czy kiedyś. Przeszła potem do Różyców, kat wie, jakim sposobem i ostatnio Wernerowi przypadła, a on ją kościołowi płockiemu darował...

— Nie rozumiem, po co mi to rozpowiadasz? — ramionami wzruszył Bieniasz.

— Po to — odparł Bolesta — że skoro Werner bez prawa włość trzymał, więc i bez prawa nią rozporządził. Trza było o swoje się upomnieć, com też uczynił.

— A on? Zaprzeczył słuszności?

— Nie zaprzeczył, bom bez pytania Karsko zajął i tyła.

— Ba! krucha sprawa... Gwałt... włość kościelna... — mruknął Bieniasz.

— Nasza nie kościelna, raz jeszcze powiadam! — przerwał kasztelan dobitnie. — Nasza, zrozumie. Odebrałem swoje, nikt mi prawa do tego nie zaprzeczy.

Spojrzał w oczy bratu Bieniasz przenikliwie.

— Ano... zawsze biskup się na to nie zgodzi, upominać się będzie — odezwał się.

— Wiem i nic sobie z tego nie czynię. W Karsku dwa dziesiątki naszych zostawiłem, jeszcze im na wypadek, drugie dwa dziesiątki posłę, niech biskup próbuje odebrać. Pójdzie-li sprawa do króla, lub przed sądy ziemiańskie — i tam damy sobie radę. Włość moja. Przepuszczałem biskupowi, dopóki siaka-taka zgoda między nami była; ale kiedy na udry ze mną poszedł niech ma!

Znów umilkł, czas jakiś chodził po izbie, z boku spojrzenia na Bieniasza rzucając, który podtenczas dzban wyciągnął i miodem się raczył; wreszcie stanął przed bratem, po ramieniu go uderzył.

— Z Okszami trza skończyć, bo nam spokoju nie dadzą..

Bieniasz oczy zaczerwienione od trunku na niego podniósł, garścią wąsy otarł.

— Albożem ci nie mówił? — rzekł.

— Jutro nocą wybierzem się tam — ciągnął Bolesta; — gródek z ziemią zrównamy, a niewiasty tu, na zamek, przywieziem. Będzie im bezpiecniej.

— Sprawiedliwieś umyślił! — potaknął skwapliwie Bieniasz. — Dospomogę ci, jak dla siebie.

Roześmiał się kasztelan z przymusem pewnym.

— Wiem, z czego ci rośnie ochota — wycedził — o Halce myślisz...

Bieniasz po kolanie się uderzył.



— Rajskie jabłuszko! Krew z mlekiem dziewoja! Kojarzą się ludzie w stadła małżeńskie, czemu bym ja tak samo uczynić nie miał?

— Takiś ty do małżeńskiego stadła, jak wilk do orki! Ale co tam o tem. Wpierw dostańmy niewiasty na zamek i z Zagórzem porządku dokonajmy. Jutrzejszej nocy, pamiętaj! Jeno łba na szczyt nie zalej...

Jakoż kasztelan niecnego zamysłu dokonał. Nocy następnej na Zagórze niespodzianie napadł, spustoszył je, złupił gorzej od pogaństwa, budowle z dymem puścił, wały obronne rozrzucił, a panią Sulisławową i Halkę do Wizny uwięził — tam w baszcie zamkowej, w odosobnieniu umieścił. Wszystko zaś czynił bez wzdragania, bo zawzięte jego serce, na bezprawia, o pomstę do nieba wołające, całkiem było nieczułe. Dokonawszy gwałtu, radował się, śmiał, dłonie zacierał, powtarzając:

— Spokój sobie kupiłem! Juści teraz nie będzie ona kwoka jękliwa skargi na mnie zanosić. Mniemam też, że zgodzi się teściową moją zostać, a gdy się tak sprawa uładzi, wszystko w zapomnienie pójdzie, biskupowi na wstyd... O Karsko niechybnie mnie przed sądy zawezwie, ale od czego pieniądz? Przy jego pomocy łąco mi przyjdzie wmówić w sędziów, jako włość do rodu naszego niegdyś należała i że Różyce bezprawnie na niej siedzieli... Kędzior mi nie straszny, a kłątwa... żyją z nią ludzie. Wreszcie i od kłątwy okupić się można. Bieniasz mi będzie dogryzał, bo na Halkę nie od dziś chętnym okiem patrzy, ale z nim najłatwiej: kufę mu trunku postawię, tem się zadowoli. Znam go.

Tak roił Bolesta, lecz one rojenia jego prysły niebawem, rozwiały się, niby pył przydrożny od wiatru powiewu. Więc naprzód, gdy pani Sulisławowej zamysły swoje oznajmił, że wstrętem je odepchnęła, a Halka nie tylko jej przywótórzyła, lecz zaprzysięgła, Boga wzywając na świadki, że wolej życia się zbawi, niż mu dłoń na pożycie małżeńskie poda. Kasztelan łagodnie do nikogo przemawiać nie umiał, tedy odrazu w gniew wpadł i grozić osieroconym niewiastom począł:

— Prawda jest, co dawna gadka niesie, że u podwiki włos i język długie, natomiast rozum krótki. Świadectwo o tem dajecie jasne wy, Okszowo i wasza dziewczka. Ano... nieboszczyk wasz także niedaleko sięgał rozumem, bo i jemu napomykałem, że pieczęcią zgody między nami Halka być może, on zaś, równie jak wy, boczył się na to, dąsał, a nawet powiadał, że chociażby krom mnie inszego zalotnika nie było na świecie, i wtedy Halkiby mi bronił... Nie do pojęcia taka kurza ślepota! Bo co przeciw mnie mógł mieć? Co wy możecie mi zarzucić? Życie we mnie w całej sile, postawa, na psa urok, dorodna, a możnością i znaczeniem nie lada kto mi sprostaa... Panem jestem na wizkiej ziemi, co chcę poczynam. Ludzie znają mnie, każdy mi się z drogi usuwa. Dziewka wasza w perłach i złocie będzie chodziła ptasiego,

mleka chyba jej zbraknie... I takiego zalotnika odrzucać?! Kurza ślepota, powtarzam.. Alem ja nie z tych, mościwa Okszowo, co to można ich zbyć lekko. Od zamysłów nie odstępuję, wola moja niezłomna. Halkę zaślubić muszę, słyszycie? Czas do rozwagi wam zostawiam; żeby zaś opamiętanie rychlej przyszło, przeniosę was gdzieindziej... W lochu, kędy słońca promień nie dochodzi, o chlebie i wodzie, człek dziwnie szybko kruszeje...

— Kat jesteś, bez serca i sumienia! — jęknęła Okszowa, z boleścią pozierając na Halkę, a dziewoja rzuciła się ku niej za kolana objęła i wołała z napałem:

— Matusz jedyna! Matusz serdeczna! nie obawiaj się, nie trwóż. Niech nas zamyka, niech dręczy, na męki weźmie, wszystko zdzierżym. Bóg nas nie opuści, da wytrwanie i On też karę na zbroja tego spuści...

— A! takaś ty, sroko! — krzyknął Bolesta rozjuszony. — Poczekaj! Rychle będziesz u stóp moich zmiłowania błagała...

Wypadł z baszty i niezwłocznie nieszczęsne sieroty w lochu podziemnym zamknąć kazał.

Zawód rozsrożył kasztelana, bo plany mu wikłał niezmiernie. O Halce dawno przemyśliwał, nie żeby sobie ją osobliwie upodobał (choć zawsze ją oczyma rad pożerał), ale dlatego, że, jak mniemał, pojawiając ją za małżonkę, łącznie tajemnicy ukrytych w Zagórzu skarbów dobiedzie. Wierzył bowiem pogłoskom, iż we włości Okszów, jeden z przodków tego rodu moc bogactwa utaił, żeby nie wpadło w ręce pogan, którzy wówczas srodze krainę polską trapili; wierzył również, że Okszowie bogactwa wciąż w tem ukryciu przechowywali, z ojca na syna tajemnicę zdając. Tedy Okszowa, może też i Halka, tajemnicę ową posiadać musiały. Przed obcym, oczywista, zdradzić jej nie chciały, ale do związków rodowych przypuszczonemu, niechybnieby ją odkryły. Skarby mniemane, jak słusznie nadmienił biskup, były przyczyną, że kasztelan tak się do Zagórza dobijał, one go również skłoniły, że się ku Halce zwrócił. Teraz inszy jeszcze powód przybywał. Halszka, żoną Bolesty ostawszy, będzie mu w wojnie z biskupem pomocną. Werner z krewniakiem waśnić się nie zechce, nawet mu zagarnięcie Karska daruje, tedy Bolesta tak wyjdzie, jakoby mu biskup ustąpił, jakoby się jego znaczenia i możliwości uląkł. Oporność Okszowej i Halki zatem niweczyły zamysły powzięte. Kasztelan jednak był pewien, że nie potrwa ona długo. Ciemnica sama przez się była udręczeniem srogiem, jeśli to nie poradzi, — głodem zmusi ofiary swoje do powolności. Głód srodek doświadczony; najwytrwalszych mężów łamie, a cóż dopiero mówić o słabych niewiastach.

Drugi zawód spotkał kasztelana ze strony Bieniasza. Opój ten, stworzenie bez uczuć ludzkich, zezwierzęcałe, ni chrześcijanin, ni po-

ganin, coraz natarczywiej o Halkę się dopominał. Zbywał go kasztelan, okłamywał, trunek dla wyzucia go z pamięci podsuwał, ale Bieniasz jedno i jedno powtarzał:

— Dziewkę mi daj! Pomogłem ci z Zagórzem uczynić coś chciał, należy mi się zapłata. A nie myśl, iżbym się jej wyrzekł. Po bratersku ci powiadam: nie kręć ze mną. Liszka z ciebie chytra, ale i mnie przezorności nie brak. Dziewkę mi oddaj, bo pożałujesz.

Bolesta, gdyby inszy go tak natrętnie bódł, bez długiego namysłu kazałby go stracić, albo sam rozszczepiłby mu głowę; ale Bieniaszemu był potrzebny, bo ślepo jego najdzikszych rozkazów słuchał, a tak był śmiały, że niczem mu na tysiące samemu uderzyć, niczem w płomienie się rzucić. Przytem mimo nałogu szpetnego, istotnie nadzwyczajną przezornością się odznaczał — niełatwo go można było obejść. Oszczędzał tedy Bolesta Bieniasza, wciąż mniemając, że go upodobanie do Halki opuści.

Czas upływał, a uwięzione w ciemnicy niewiasty wciąż przy swoim trwały, Bieniasz zaś coraz żwawiej na kasztelana nacierał. Bolesta, z dwóch stron drażniony, wrzał cały, ale czekał jeszcze. W takim usposobieniu zastał go kanonik Jan, kapłan wieku podeszłego, przysłany przez biskupa Wernera w sprawie Karska. Biskup z wielką, ojcowską wyrozumiałością postąpił. Nie zaniósł skargi przed króla, wprost do Bolesty się udał, czynił mu, usty swego posła, łagodne przedstawienia, starał się tą drogą jeśli nie sumienie, to rozagę jego poruszyć.

— Karsko — mówił kanonik — jest własnością kościelną, chwale Bożej ofiarowaną. Wyrozumieście, kasztelanie miłościwy, żeście się straszliwego świętokradztwa dopuścili. Pasterz nasz dostojny mógłby na was grom rzucić, złamać i upokorzyć za pomocą klątwy, lecz nie chce się imać tej bolesnej ostateczności. Zgrzeszyliście zapalczywością, która przecież już ochłonać powinna, tedy postąpcie wedle sumienia — oddajcie co Bożego—Bogu.

Na słowa dobroci kasztelan odpowiadał przekąsem, drwinami, wreszcie oświadczył zdumionemu kanonikowi, że Karska zwrócić nie myśli, bo włość ta ongi do jego rodu należała, a Różyce bezprawnie ją sobie przywłaszczyli, na co — tak kończył — gdy trza będzie, dowody znajdzie. Kanonik Jan, przekonany o kłamliwości tego tłumaczenia, nie ustępował. Bolesta wówczas jął urągać biskupowi; gdy zaś kanonik z gorącą obroną świętobliwego pasterza wystąpił, w taką wpadł zapamiętałość, że wypędzić go z zamku kazał, a na drogę rzucił:

— Powiedz biskupowi, żeby mi więcej klechów nie nasyłał, bo żaden z nich nie wróci. Karska nietylko biskup, ale nawet dyabeł mi nie wydrze. Moją ta włość jest i pozostanie! Jeśli mnie będzie niepo-



koł — więcej jeszcze zagarnę, w ostatku — tak go poskromię, że światła dziennego nie ujrzy!

Biskup, wciąż łagodnej drogi się trzymając, do sądu ziemskiego kasztelana przypożwał. Usiłował Bolesta, jak był sobie ułożył, pieniądze sąd na swoją stronę pociągnąć, lecz daremnie. Stał dekret sprawiedliwy — nakazujący mu włość zagarniętą niezwłocznie zwrócić oraz grzywny znaczne zapłacić. I mimo zarzekania się, dekretu Bolesta usłuchać musiał, bo sam król dopilnował, żeby się tak stało.

## VI.

Biskup tedy pokonał pychę kasztelana, zwyciężył go, złamał nawet bez kłutwy. Rozum nakazywał kasztelanowi zaprzestać nierównej walki, która go już zesromalała, a prowadzona dalej, musiała do większej jeszcze hańby przyprowadzić. Lecz kasztelan całkiem dał się opętać szatanowi, jego poduszczeń tylko słuchał, wskazania rozumu i sprawiedliwości odrzucając. Dekret zatem, Karska oddanie i grzywien uiszczenie w szal go jeszcze większy wprowadziło.

— Kości rzucone! — wołał do Skorupy, szarpiąc włosy, odzież, sprzęty rozbijając. — Będzie miał, czego sam chce. Pozna teraz dopiero, z kim igrać zaczął, doświadczy co mogę, do czego jestem zdolny, na co się ważę... Niech cały świat przepada, a na swoim postawie, okażę, iżem od biskupa możniejszy! Nie spocznę, zanim zemsty nie wezmę. Dławi mnie to pragnienie, dusi, pali, pierś rozsadza. Płonę cały, goreję od pragnienia tego. Skorupa! Tyś mi wierny, ufam ci, wierzę. Ostań w Płocku i na biskupa uważaj. Każdy krok jego masz śledzić. Gdy z miasta wyjedzie, zaraz do Wizny wiedzieć dawaj, gdzie się udał, gdzie się zatrzymał, na jak długo. Żebyś spełnił, co nakazuję!

— Z oka go nie spuszczę — zapewnił Skorupa.

Takie zlecenie powierzwszy zausznielowi, Bolesta opuścił Płock, lecz nie zaraz do Wizny wrócił. Zjawił się tam dopiero po upływie niejakiego czasu i to nie sam, ale z liczną rzeszą Prusów, których na zamku niezwykle serdecznie podejmować zaczął. Stoły dniem i nocą były zastawione, miód, piwo, wino nawet, trunek podówczas w Polsce niezwykajny i drogi, strumieniami się lało, mięsiwa i polewki smakowite wciąż podawano świeże. Radzi byli takiej gościnie Prusowie, chociaż nie wiedzieli, co ją powoduje. Kasztelan wprowadził rozpowiadał, że ich zwycięstwo uczcić pragnie, bo — tak się tłumaczył — chociaż jest

ziemi polskiej ojczycem, Prusów osobiłwie miłuje i cieszy go to, że chciwość Kędziora ukarali.

— Sprawiedliwość przede wszystkim! — zapewniał gorąco. — Jakież prawo miał Kędzior do porzucenia wiary was przymuszać, do hołdownictwa? W swojej krainie każdego ma prawo według obyczaju swego się rządzić, a niewola sprawiedliwości się przeciwi. Tak myślę, przytem obstawam. Bolesław swoich ziemi ma dość. Chce granice rozszerzać — niech się ku Niemcom, Czechom, Węgrom zwróci, ale nie do was. Kraina wasza ze złota i srebra nie słynie, do tego wiadomo, pobratymstwo pomiędzy wami a nami istnieje, i gdyby nie biskupy, gdyby nie czerń klesza, kupy trzymalibyśmy się po dziś dzień. Stąd też niezgoda między nami — aleć gdyby nie biskupy, łącznobyśmy wszelkie poswarki usunęli. Oni to was i nas podszczuwają, bo w tem korzyść widzą dla siebie. Mówią: należy chrześcijaninowi pogańcy nawracać, ale nie o nawrócenie im idzie, jeno o dziesięciny, które z nawróconych ściągają!

Taka mowa podobać się Prusom musiała, domyślali się jednak, że Bolesta nie dla wynurzenia się z tem do Wizny ich przywiódł, że zamiary jakoweś tai.

Bieniasz również przeczuwał, że kasztelan coś przygotowuje. Otwarcie mu nawet rzekł:

— Tumanisz Prusów, ale mnie, bratu, winieneś wyznać do czego zmierzasz, bo miarkuję, że się beze mnie nie obejdziesz. Toć gadaj po szczerości, co ci w głowie? Przeciwno Kędziorowi pogaństwo chcesz wzburzyć?

— Myślisz, żebym tego uczynić nie potrafił? — mruknął Bolesta.

— Wiem, że potrafisz, ale pożytku dla ciebie z tego nie widzę...

— No, to ci powiem, że o inszym pożytku myślę...

— A ten jest?

— Dowiesz się w swoim czasie.

— A trzymajże sobie zamysł w skrytości! — rozśmiał się Bieniasz. — Niech cię dusi...

Dwie niedziele już zabawiali się Prusowie na wizkim zamku, kasztelan wciąż nadzwyczajną im serdeczność okazywał, karmił, poił do umoru, tak, że głowy mieli wciąż trunkiem obłąkane i rozpalone. Po dwóch niedzielach, w nocy, przyjechał Skorupa, którego Bolesta niezwłocznie do ustronnej izby wziął.

— Co przywozisz? — zapytał skwapliwie.

— Werner z Płocka wyruszył, w Biskupicach swoich jest, ma tam wypocząć dni kilka i do Poznania pociągnąć — odparł zausznik.

— Pewna-li ta wiadomość?

— Najpewniejsza.

— Siła z sobą ludzi ma?

— Et! garść mizerna... — ręką pogardliwie rzucił Skorupa.—Dziś siątek nie więcej.

Poszeptali coś jeszcze, następnie Bolesta do gości wrócił i już zdrowia wnosić, a miodowe słowa sypać, a przeciwko biskupom pioruny rzucać. Bieniasza pilnował osobliwie — ustawicznie mu kubki napełniał i do ich wychylania zachęcał. Kiedy już i Bieniasz, i Prusowie dostatecznie byli podnieceni, jął na Wernera się uskarżać:

— To wilk w baraniam runie, największy wasz, Prusów, wróg, a iż was ja miłuję, przeto i mój nieprzyjaciół. Wielu on mi już krzywd wyrządził, a niedawno tak ukąsił, jak gadzina... Włości ma niezmierzone, komory złota, srebra, szat drogich, bursztynu pełne, tego wszystkiego mu zaś śnać niedość, bo po naszą rodową własność sięgnął i, przy pomocy Kędziora, wydarł nam ją... Jegoby się zbyć... Bieniaszu, prawda? Odetchnęlibyśmy swobodnie, a i sąsiady nasze, Prusowie, wielu by na tem zyskali...

Zręcznie słowa rzucając, tak umysły pijane przeciwko Wernerowi wzburzył, że śmiercią mu grozić poczęto. Wówczas Bolesta ozwał się:

— Zali ochotę macie po temu, możecie łącznie go zgładzić. Bieniasz, ty Biskupice, włość Wernera, znasz? On tam w tej chwili zabawia, bez ludzi prawie. Noc mamy pogodną, do Biskupic niedaleko, jedź z miłymi gośćmi naszymi i sprawcie się z nim... Jeno wyrzeżajcie całą włość do nogi, a nikt się nie domysli nawet, kto to sprawił.

— Tędy droga! — rozśmiał się chrapliwie Bieniasz. — Tędy mierzysz?!

— Boisz się?—zagabnął Bolesta, wiedząc z góry, że tem posądzeniem do żywego poruszy brata.

— Ja? Ja? Kto ci to powiedział?! — krzyknął Bieniasz, porywając się z ławy i pięścią o stół dębowy tłukąc. — Nie bałem się nigdy i nie boję niczego... Biskup? Co mi biskup! Pierwszy go mieczem porażę... Dalej! kto za mną! Śmierć Wernerowi! Śmierć klesze!

— Śmierć klesze! — wrzasnęła pijana gromada Prusów i wnet wszyscy zbroić się zaczęli, a po chwili, cała ta zgraja w szalonym peędzie zmierzała w stronę Biskupic.

— Zasmakujesz mojej zemsty! — syknął Bolesta, patrząc za nimi. — Już cię dzień między żywymi nie obaczy, święty biskupie...

I rozśmiał się głośno, a z rozradowania kubek spełnił duszkiem.

Tymczasem w Biskupicach, kędy istotnie Werner w podróży do Poznania się zatrzymał, wszystko we śnie głębokim spoczywało. We włości owej dworek był szczupły, z drzewa, równie jak inne zabudowania, a dostęp do niego nie trudny, bo jeno częstokół go bronił nienazbyt wysoki i rów z wodą, wówczas, jako w porze zimowej, zamarzniętą, tedy do-



przebycia również łatwy. W jednej izbie z biskupem spał brat Benedykt, mnich zgromadzenia Benedyktyńskiego, z nim bowiem i innymi zakonnikami Werner w domu i po za domem zazwyczaj przebywał w towarzystwie, aby miał wszędy świadectwo swego nieskalanego życia, oraz pacholę służebne.

Dobrze już było po północy, gdy naraz tentent kopyt się rozległ, krzyki niesforne, łomot straszliwy, a rychle do izby pasterza łuna pożaru wpłynęła, oblewając ściany żywą purpurą.

— Pomoc Boża z nami! — zawołał biskup rozbudzony. — Ktoś nieopatrzny z czeladzi ogień snąć zarzucił... Dowiedźże się, bracie Benedykcie...

Ledwie tych słów dokończył, drzwi z trzaskiem, toporami wyłamane, rozchyliły się i do izby wtoczyła się zgraja pogaństwa, z Bieniaszem na czele, który w jednej ręce płonącą belkę trzymał, oświecając sobie drogę, w drugiej miecz obnażony.

— Owo jest, kogo szukamy! — wrzasnął z dziką radością brat kasztelana. — Ano, biskupie święty! wzywaj na obronę rycerstwo niebieskie, bo o jego mocy przychodzimy się przekonać!

Śmiechem parsknął, potoczył się ku pasterzowi.

— Na imię Przedwiecznego, wstrzymajcie się! — zawołał biskup, krzyż z tuż przy łożu stojącego sprzętu do ręki chwytając i tem godłem zbawienia się osłaniając. — Nie o życie mi idzie, lecz was pragnę od zguby, od potępienia wiecznego zachować..

— Siebie, siebie zachowaj, jeśli możesz, od słusznej zapłaty za krzywdę, którąś bratu memu, kasztelanowi wizkiemu, Bolescie, wyrządził... — przerwał Bieniasz okropnym głosem. — Weźże należne! Naści!

To rzekłszy, z zajadłością pchnął biskupa w samo serce, a za nim pogani rąbali ciało bezbronnego starca, pokrzykując bezładnie.

— Przebacz im, Panie, nie wiedzą co czynią! — zawołał biskup, potem wyszeptał: — W ręce Twoje, Ojcze, ducha mego oddaję... — i zamilkł na wieki.

Zbóje, splądrowawszy Biskupice doszczętnie, wymordowawszy cały orszak biskupi i stałych mieszkańców włości, zwłoki pasterza do szopy zaciągnęli, przyrzucili oponami, a zwierzechu plewami i chrustem, poczem zniknęli szybko, aby zawieść Bolescie pożądaną wiadomość, iż pragnieniu jego zadość się stało.

Noc była jasna, zupełnie pogodna. Śnieg zmrożony chrzęścił pod kopytami koni, które z początku bieły chyżo, sprawnie, jeźdźcom powolne, lecz niebawem parskać zaczęły, łbami trząść, rzucać się niespokojnie. Jeźdźcy z początku na to nie zważali, ale niepokój koni wzrastał coraz bardziej, więc ten i ów rozglądał się, przyczyny tej niesforności szukając. Wnet też się przyczyna owa wyjaśniła. Za gromadą

morderców pędziło olbrzymie, nieprzejrzane stado wilków, z wywieszonymi ozorami i łuskającymi krwawo ślepiami. Niebawem przeciągłe, złowrogie wycia rozbrzmiały w powietrzu, a było w nich coś pogrzebowego.

— Srogie stado — zauważył któryś z Prusów.

— Jako żywo, jeszcze tak wielkiej ómy wilków nie widział — dodał inszy.

Nic sobie jednak z pogoni drapieżników nie robili, bo przecie było ich kilkudziesięciu; nawet któryś chciał, żeby natrzeć na stado i wydeptać je kopytami, wytłuc młotami krzemiennymi, wyniszczyć czem się da, „bo — prawil — skóra wilcza także się na coś przyda”: ale poważniejsi nie chcieli tej wojny, ile, że nie obeszloby się bez straty i okaleczenia koni. Więc pomykali dalej mniemając, że lada chwila Wiznę przed sobą obaczą.

Zamek jednak się nie ukazywał, a stado tuż-tuż ich dopędzało, przytem końca tej ruchomej, czarnej, wyjącej fali dojrzeć nie było można. Wówczas niepokój ogarnął morderczą zgraję.

— Z całego świata chyba się zwały! — mruczał ten i ów.

— W konie! W konie! Coś nadzwyczajnego w lasach stać się musiało, że w taki ogrom się zbierały...

Konie dobywały ostatka sił — wreszcie jeden pośliznął się, padł, za nim drugi, trzeci... Jeźdcy wszakże nie zatrzymywali się na ratunek towarzyszy, do których wilki w oka mignieniu przypadły i również z błyskawiczną szybkością ich pożarły, bo każdemu szło teraz o życie; dopiero gdy stado oskoczyło uciekających ze wszystkich stron, jęli się bronić, wstrzymawszy konie, które zresztą już posuszeństwa odmawiały... Zawiązała się pomiędzy olbrzymiem stadem krwiożerczego zwierza a tymi, którzy niedawno krew bliźnich niewinnych przelewali, walka zawzięta, rozpaczliwa. Padały wilki i od kopyt koni, i od oszczepów, i od mieczów, i od młotów krzemiennych; Prusowie rozdzielali im paszcze, karki skręcali dłońmi, ogłuszali uderzeniami pięści, ale na miejsce zabitych, zjawiały się nowe gromady drapieżników. Prusów wtedy lęk zdjął ostatni:

— Czary! Czary! — jęli wołać. — Bolesta na zgubę nas posłał!

I szarpani przez zgłodniałego zwierza, przeklinali kasztelana.

Wilki zwyciężyły — skoro słońce wzeszło, ani jeden z Prusów nie pozostał przy życiu; kości z nich jeno nagie na krwią zboczonym śniegu świeciły...

Bieniaszowi tylko udało się ująć przed paszczką wilczą. Uskoczył w bok tak jakoś szczęśliwie, że nie zwrócił uwagi zwierząt, a dokonawszy tego, pędził niby wicher, sam nie wiedząc gdzie. Koń bokami robił, piana szmatami z pyska mu się odrywała, — jeździec zaś wciąż go parł a parł.. Już był daleko od wilków, mimo to rumakowi

spokoju nie dawał, bo go ogarnął inszy strach. Zdało mu się, że widma jakieś grobowe go ścigają, a w uszach wciąż słyszał jęk biskupa i jego ostatnie słowa:

— Nie wiedzą, co czynią...

Słowa te wstrząsały całą jego istotą, szarpały mu piersi, napęniały przerażeniem.

Nagle — dziw się stał, bo oto wichur powstał straszliwy, a z jasnego nieba, w porze zimowej, piorun za piorunem spadać zaczął...

— Piekło mnie ściga! — wyszeptały zbielejące wargi Bieniasza. — To za biskupa! za biskupa! Oh! ten Bolesta... przekleństwo mu i zguba...

Znów huk pioruna się rozległ — w tej chwili ziemia się przed Bieniaszem rozdarła, tworząc wązką, czarną przepaść, w którą wraz z koniem się stoczył...

## VII.

W kilkanaście dni potem, po ulicach Poznania snuły się tłumy milczące, posępne, strapione, dążąc do katedry, której dzwony były powoli, smętnie, jakby na pogrzeb wzywając. Rychło też świątynia wypełniła się wiernymi po brzegi, a groza w niej panowała niezwykła, cisza taka, że bicia serc można było słyszeć.

Na ołtarzu wielkim płonęły światła, serce dzwonu wciąż ponuro, w jedną tylko stronę blachy uderzało, u okien wązkich świegotały jasności i wróble, kręcąc się w złotym pasmie blasków, utworzonym przez ostatni promień słoneczny, które ukosem od okien szło i na głowy zgromadzonych tłumów spadało...

Od zakrystyi dał się słyszeć szelest — wnet też ukazały się pachołeta z krzyżem, dalej klerycy, dalej niżsi i wyższych stopni kapłani, za nimi w mitrach, z laskami pasterskimi, biskupi: krakowski Gedeon, poznański Bernard, — wreszcie sam arcybiskup gnieźnieński Piotr, przy którym postępował prałat z wielką księgą, i znów szeregi kapłanów. Wszyscy smutek mieli na twarzach, głowy spuszczone, w rękach trzymali świece czarne...

Drżenie trwogi przebiegło lud zgromadzony, żegnać się zaczęto, łkania rzewne się odezwały...

A dzwon wciąż w jedną uderzał stronę, coraz żałobniej, coraz bardziej przejmująco...

Arcybiskup przed ołtarzem stanął, w otoczeniu biskupów i duchowieństwa, laską pasterską trzykroć o stopnie stuknął, księgę rozwarł, modlił się z niej przez chwilę, następnie zanucił głosem posępnym:



— *Deus laudem meam...*

Brzmiała pieśń lamentliwie, rozpacznie, załamywała się w sklepieniach świątyni, a potem spływała na dół i lękiem dziwnym wdzierała się do uszu wiernych, zwiastując, że za chwilę stanie się w tym przybytku Bożym coś strasznego a potężnego...

Po skończonej pieśni, czas niejaki trwała cisza. W końcu, arcybiskup zwrócił się ku ludowi, z twarzą bladą, surową, nieugiętą i głosem donośnym, uroczystym, w którym zdało się łoskoty piorunowe brzmiały, czytał z księgi te okropne słowa:

— Wyklęty jest Bolesta, wizkiej ziemi kasztelan i rządcą, sprawca główny strasznego mordu, popełnionego na świętobliwym biskupie płockim Wernerze! Wyklęty jest ze wszystkimi spółnikami i doradcami swoimi, ze wszystkimi, co mu pomoc nieśli, którzy mu radę dawali, którzy cieszyli się tem, co czynił, którzy wiedzieli o uczynkach jego, a nie powstrzymywali go od nich i nie głosili za nieczne... Przeklęty niech będzie Bolesta w domu swoim i na dworze, przeklęty w grodzie, w mieście i na roli; niech będzie przeklęty gdy siedzi, stoi, je i pije, gdy pracuje i usypia; niech będzie przeklęty tak, aby w nim zdrowego członka nie było, od wierzchu głowy jego, aż do podnóża stóp jego, niech wypłyną zeń wnętrzności jego, a ciało niech robactwo stoczy. Niech będzie przeklęty z Ananiaszem i Zafirą, niech będzie przeklęty z Judaszem zdrajcą, niech będzie przeklęty z Abironem i Datanem, których ziemia żywcem pożarła, niech będzie przeklęty z Kainem bratobójcą... Mieszkanie jego niech stanie spustoszone, niech będzie wymazane z księgi żywiących i ze sprawiedliwymi niechaj pisany nie będzie. A pamiętka jego niechaj przepadnie i szczerze na wieki. Niech na sądzie ostatecznym będzie przeklęty z dyabłem i anioły jego, i na wieki niech ginie, jeżeli się nie upamięta...

Zamilkł arcybiskup, złamawszy trzymaną w ręku świecę, na ziemię ją rzucił, to samo uczynili biskupi, kanonicy i insi kapłani, a wszyscy wołali przytem donośnie:

— *Amen! Amen! Fiat! Fiat! Fiat!*

Straszny obrząd był skończony—wierni opuszczali świątynię skruszeni, przejęci do głębi jego doniosłością, lecz nikt się nie odezwał ze słowami spótczucia dla odłączonego od społeczności chrześcijańskiej grzesznika, wszyscy jednomyślnie przyznawali, że na sroższą karę zasłużył.

— Bo zważcie jeno — mówił Stefan z Rogowa, podczaszy króla— Kościół święty znać zbrodniarza nie chce, dopóki się nie poprawi, nie upamięta, skruszy nie okaże, co jeśli uczyni, przywrócon będzie do zgromadzenia wiernych i grzechy jego zostaną zmasane. Zaiste, miłosierdzie Kościoła wielkie, ale Bolesta z tej łaski i dobroci nadzwyczajnej

nie skorzysta. Dawno on już wiarę wszelką zatracił, co się jawnie z uczynków jego okazywało... Kogo on nie skrzywdził? Kogo nie spowiewierał? Kościół za biskupa zamordowanie po swojemu go ukarał, aleć istnieje sprawiedliwość świecka, która także go po swojemu ukarać winna, nie tylko za to, lecz i za inne zbrodnie, których lik mnogi się zebrał. Któż Zagórze złupił, spalił z ziemią zrównał, jeśli nie on? Któż wdowę po Sulisławie Okszy i córkę jego, z mienia wyzuwszy, do ciemnicy wtrącił, głodził, zniewalał, żeby mu młodziuchna dziewczyna rękę oddała, jeśli nie on? Wiemy też, że z Prusami się wacha, buntuje ich przeciwko królowi... Takiego zbrodniarza przy życiu ostawiać nie można, skończyć z nim trza, bo wciąż broić będzie. Przedstawiałem to już królowi, poparli mnie insi z rady i będziem się stracenia gwałtownika, zdrajcy, świętokradcy, bluźniercy dopominali, bo dopóki on żyw, nad krajem klęska od strony pogan zwisa i zresztą nikt głowy nie pewien...

— Mówicie, jak z księgi — potaknął Zbigniew Belina — a jeśliście łaskawi, powiedzcie, jak się to stało, że zbrodnie kasztelana tak odrazu na jaw wyszły?

— Z woli Bożej snąć się to stało — odparł podczaszy. — Poganie z Bieniaszem mieli nakazane przez kasztelana wszystkich ludzi w Biskupicach wytracić. Jakoż rzeź tam sprawili okrutną, ale żaden z nich nie dostrzegł, że pod łożę biskupa pacholę służebne się wcisnęło, które, skoro tylko mordercy Biskupice opuścili, pobieżało do włości sąsiedniej i wszystko rozpowiedziało dziedzicowi tamtejszemu, Skarbimirzowi Bogoryi, ten zaś natychmiast do Płocka znać królowi dał. Król też, w tę pędy, sprawdzić wiadomość nakazał, a sprawdziwszy, poczt liczny wysłał do Wizny. Bronił się Bolesta zawzięcie, ale w końcu uległ. Przywieziono go tymczasem do Poznania i zamknięto w wieży, gdzie z początku się zapierał i o dowody wołał, bo powiadał, że świadectwo pacholęcia nic nie stanowi. Dowody wnet się nalazły. Wzięto na męki przybocznych kasztelana, ci wszystko wyśpiewali, najwięcej zaś niejaki Skorupa, któremu się Bolesta ze wszystkich zamysłów zwierzał.

— Wiem o tym Skorupie, łotr jest — wtrącił Belina.

— Jużci go pomiędzy żywiącymi niema, obwieszono go, bo okazało się, że wiele złego Bolesta z jego poduszczenia pełnił. Zanim jednak go stracono, i to wyznał, że Bolesta sieroty po Okszy uwięził, a także wskazał, gdzie ich szukać. Zaraz też uwolniono niebogi, a król do odbudowania Zagórze pomoc im dał...

— Patrzajcież! — dziwił się Belina. — Jakto po mizernej nici do samego kłęba trafić można.

— Tedy Bolesta przyznać się musiał? — zagabnął Bogorya.

— Nieinaczej. Widząc, że wszystko stracone, już w niczem się nie zapierał, bez skruchy jednak, bez żalu, bez zesromania... Ba! chwalił się niemal zbrodniami swojemi, mówił o nich szyderczo, ze śmiechem, urągliwie w oczy patrząc królowi, bo sam Kędzior go badał...

— Szatan chyba go opętał!

— Niewątpliwie. I żeby wam miarę jego bezczelności dać, powiem, jakie słowa przy badaniu rzucał. Na ten przykład, mówił: „Gdyby biskup z grobu wstał, a ja gdybym był wolny, uśmierciłbym go raz wtóry, i trzeci, i dziesiąty!” Taka w nim zjadłość tkwiła. A królowi, którego przecież tak go wyniósł i tyle mu folgował, wręcz rzekł: „Żeście mnie zamknęli w wieży, to nie znaczy, żebym się na wolność wydostać nie miał. A jeśli się wydostanę, to i tobie, miłościwy panie, sadła gorącego za skórę zaleję”.

— Dla Boga! Tak gadał?!

— Gorzej jeszcze. Prawił bowiem: „Ważcie się mnie stracić, to całe Prusy się ruszą, aby śmierć moją pomścić. Obaczycie”. No — i czy nie sprawiedliwie powiadam, że skończyć z nim trza jak najprędzej. Kto wie, jaki kaduk w nim siedzi? Z Prusami zawsze družbę trzymał, był między nimi, jak swój, może też z nimi umowę jaką zawarł, dla której oni uwolnić go z zamknięcia będą się starali. Kościół go ukarał swoją drogą, a król powinien ze swojej strony go ukarać.

Pan z Rogowa był echem głosu ogólnego — wszyscy bowiem, w sprawę wtajemniczeni, domagali się stracenia Bolesty. Jakoż król zwołał wielką radę w Gnieźnie, na której skazano Bolestę na karę ognia.

Dekret też wykonano w Gnieźnie, lecz nie poprzestano na samem spaleniu winowajcy, obleczono bowiem skazańca w płótno świeżo utkane, oblano woskiem roztopionym, gdy zaś wosk zastygł, masę bezkształtną umieszczono na potężnym stosie, który spłonął szybko, w obecności króla, wszystkiego rycerstwa, tłumów mieszczan i wiejskiego ludu.

Bolesta do ostatniej chwili zawziętość okazywał. Spowiednikowi, który usiłował go namówić, do pojednania się z Bogiem, w twarz naplwał i szpetnie go zobelżył, potem śmiać się dziko, przeraźliwie począł, oczyma dziwnie skołowaciamił dokoła pozieirał, a ów śmiech jego wtedy dopiero zamilkł, kiedy go całkiem wosk roztopiony objął.

Tak oto skończył pyszny pan na Wiznie, a imię jego wspominano ze wstrętem, z odrazą, jako przykład — do czego prowadzi bezbożność i złym namiętnościom uleganie.

Co do zamordowanego biskupa Wernera, zwłoki jego zawieziono do Płocka i wśród rzewnego płaczu duchowieństwa oraz niezliczonej rzeszy wiernych, w katedrze miejscowej pochowano. Wkrótce grób jego



zaczął słynąć cudami; \*) na wezwanie jego imienia, chromi odzyskiwali zdrowie, ślepi wzrok, trędowaci zostawali oczyszczeni, a nawet za przyczyną tego błogosławionego pasterza zmarli do życia wracali. Wszystkie te dobrodziejstwa, o które w modłach zamordowanego proszono, jawnem się stały świadectwem, że on mąż Boży, za żywot świętobliwie i bez zwały spędzony, za krew w obronie swego Kościoła niewinnie przelaną, otrzymał wieniec męczeński i wszedł w społeczność duchów błogosławionych, nagrodzony zapłatą wiekiustą i szczęściem oglądania Stwórcy.



---

\*) Z biegiem czasu o grobie biskupa-męczennika zapomniano; autor opowieści daremnie śladu jego szukał w katedrze płocekiej. A jednak niewątpliwie znajdować się on tam musi. Obecnie Jego Dostojność biskup płoceki, ks. Szembek, rozpoczął gruntowne odnowienie katedry płocekiej—spodziewać się przeto należy, że przy tej pracy wiele zaginionych a cennych pamiątek wieków dawnych się odnajdzie. Dałby Bóg, żeby grobowiec ze szczątkami biskupa-męczennika był w ich liczbie.

# KOŚCIOŁ

pod wezwaniem Ś.  
Rodziny  
w Częstochowie..



Projekt nowego kościoła parafialnego w Częstochowie.





## Uroczystości ku upamiętnieniu ćwierćwiekowego panowania Jego Świątobliwości Leona XIII.

**Przyjęcie pielgrzymów polskich przez Ojca Świętego.** Dnia 30-go z m. pielgrzymi polscy, z rozmaitych stron przybyli do Rzymu, w liczbie przeszło 700, wraz z Polakami zamieszkającymi w Rzymie i w jego okolicach, dostąpili tego szczęścia, że dopuszczeni zostali przed oblicze Ojca Świętego.

Najpierw, o godzinie 10-ej zrana, w małej sali pałacu Watykańskiego, Papież przyjmował kilkadziesiąt osób, wybranych z pośród wszystkich stanów, więc: kapłanów, uczonych, panów, mieszczan, rzemieślników, kmiotków.

Osoby te podchodziły parami ku fotelowi, na którym siedział Ojciec Święty, klękały i całowały pierścień papieski. Papież zapytywał prawie każdego o to, skąd pochodzi, jak się nazywa.

— Pochodzę z Krakowa — mówi jeden.

— Miejsce urodzenia słynnego świętego Polaka, uczonego Jana Kantego — dodaje Leon XIII.

Zadziwiły Ojca Świętego stroje kilku wieśniaków naszych, poubieranych w białe świtki. — Dlaczego oni tacy biali? — zapytał.

— To strój ludowy, Wasza Świątobliwość! — była odpowiedź.

— Aha, przyjemny dla oka, przyjemny.

Na tem posłuchaniu pisemko nasze doznało szczęścia znalezienia się w ręku Ojca Świętego. Przywiozł je do Rzymu stały współpracownik nasz, Karol Hoffman. Był tu zbiór wszystkich tomów, dotychczas wydanych, w pięknej oprawie ze złoceniami, z odpowiednim napisem i poświęceniem Ojcu Świętemu.

Wysłannik nasz, pragnąc najgodniej wywiązać się z zadania złożenia „Dzwonka Częstochowskiego“ u stóp tronu Apostolskiego, uprosił czcigodnego przewodnika pielgrzymki, przewielebnego prałata d-ra Win-

centego Smoczyńskiego, aby wziął na siebie to zadanie: uważał bowiem, że milej będzie Ojcu Świętemu otrzymać dar ten z rąk dobrze Mu znanej, zasłużonej osoby duchownej, niż od skromnego laika. Ks. prałat d-r Smoczyński zgodził się łaskawie być rzecznikiem naszym przed Stolicą Apostolską. Z rąk też Jego Ojciec Święty wziął grubą księgę „Dzwonka Częstochowskiego“, chwilę potrzymał ją, uśmiech okrasił Jego oblicze i oddając skromną „Campanulę“ swemu prałatowi domowemu, uczynił nad nią znak krzyża, mówiąc: „Benedico“...

Wysłannik nasz przywiózł Błogosławieństwo Apostolskie na piśmie dla „Dzwonka Częstochowskiego“. Najwyższe to dla nas szczęście.

Tymczasem w sali „beatyfikacyjnej“ (błogosławieństw) Watykanu zgromadziły się już zastępy: około 1000 Polaków i tyluż Włochów, dopuszczonych wraz z nami do wspólnego posłuchania.

O godzinie 11½ z łagodnym trzepotem wniesiono na salę chórągwie, ofiarowane przez członków obu pielgrzymek.

Gwardziści papiescy tworzyli szpaler, przez który, w kwadrans potem, pokojowi papiescy wniesli, na wysokiej lektyce, Namiestnika Chrystusowego. Tłum zaroił się i zabrzęczał, jak pszczoły, zbudzone słońcem wiosennem. Wszystkie oczy zwróciły się ku Ojcu Świętemu, wszystkie usta wydały okrzyk na cześć Jego. Oczom naszym przedstawił się, w majestacie swej wielkości, Leon XIII — zdrów, czerstwy, uśmiechający się pogodnie, jak ojciec do dobrej, posłusznej diatwy. Gdy wstał, błogosławiąc na prawo i lewo, jeszcze potężniejszym się wydał. To też po stronie Włochów huczne zawrzały okrzyki, po stronie naszej dał się słyszeć płacz tłumiony; tam krzyczano: „E viva il papa—re!“ (Niech żyje papież—król!); tu wołano: „Niech żyje Ojciec Święty!“ Krok za krokiem, zwolna, niesiono lektykę aż do miejsca, gdzie stał tron, na którym zasiadł Papież.

Teraz kardynał Sanminiatielli-Zabarella odczytał adres w imieniu pielgrzymów — Włochów z Toskanii; po nim, wśród uroczystej ciszy, J. E. Arcybiskup lwowski J. Bilczewski wygłosił, w przepięknym języku łacińskim, mowę, jako nasz rzecznik.

Mowa ta, w przekładzie na język polski, brzmi, jak następuje:

— Ojcze Święty! Już 25-ty rok upływa, odkąd z woli i łaski Boga wstąpiłeś na pełną chwały stolicę Ś-go Piotra. Raduje się świat i śle modły do Boga Wszechmogącego, by Ciebie, mistrzu i kierowniku społeczeństwa chrześcijańskiego, w zdrowiu i pomyślności zachował.

Dzierżąc wśród najtrudniejszych warunków ster Kościoła, zlałeś, Święty Pasterzu, niezliczone dobra na owieczki Chrystusowe. Śród powszech-

nego zamieszania spraw Bożych i ludzkich, gdy sama wiara święta na niebezpieczeństwo narażona, Ty, Ojciec i Nauczycielu, zamachami złych nieodstraszone, starasz się według wysokiej Twojej mądrości, by społeczeństwo, prawie rozdarte i samo w sobie niezgodne, do pokoju i miłości doprowadzić.

Widząc porządek duchowy i moralny ze wszystkich stron zakłócony i podstawy społeczne wstrząśnięte, nie wahałeś się, Pocieszycielu nierównany, szczytnymi odezwaniami i skutecznymi środkami — zadawione leczyć choroby i drogę przyszłej pomyślności wskazywać. W przesławnych, nigdy, nigdy nie zapomnianych encyklikach dosadnie wyłożyłeś istotę i podstawę wolności ludzkiej, ustrój i zadanie władzy świeckiej, prawa i obowiązki pracodawców i robotników.

Nikt też nigdy jaśniej, wszechstronniej i dobitniej tej prawdy nie wyłożył, że cała teoretyczna i praktyczna filozofia, wszystkie umiejętności i cywilizacja znalazły ostatni swój wyraz w Chrystusie. Żadna też nie zachodzi wątpliwość, że za zrządzeniem Opatrzności właśnie w czasach najprzykrzejszych, na stolicy Watykanu zasiada Papież, który z niewzruszoną odwagą, szczególną roztropnością, a wielką miłością stwierdza i strzeże praw duchownych i świeckich, publicznych i prywatnych, a zarazem daje najpewniejszą normę życia i nieomylnie, na filozofii oparte jej uzasadnienie.

Zawsze tedy ochotni słuchać wskazówek Twoich i do Twojej nad wyraz życzliwej nam woli się stosować, przybiegamy z radosnymi życzeniami. Ty, Wielkoduszny Ojciec, nieomylnym jesteś nauczycielem prawdy i słodkim pocieszycielem. Do kogoż pójdziemy, jeśli nie do Ciebie? Więc ufni i korni błagamy Cię: wspieraj nas, Ojciec Święty, w trudach. Błogosławieństwem swem nas pokrzep, bo masz słowo żywota wiecznego.

Odpowiedź papieską po łacinie odczytał jeden z prałatów domowych Ojca Świętego.

Podczas czytania tej odpowiedzi Ojciec Święty w niektórych ważniejszych miejscach, ruchem ręki przytakiwał słowom, na które pragnął zwrócić szczególniejszą uwagę.

Niebawem Ojciec Święty silnym, bynajmniej nie starczym głosem, zaintonował początek Benedykcyj, odśpiewanych przez duchowieństwo. Potem — w pięknej sali beatyfikacyjnej rozległy się rzadko słyszane tony pieśni polskiej „Serdeczna Matko“. Z uwagą słuchał jej Ojciec Święty, słuchali Włosi. Choć słów nie rozumieli — poddawali się urokowi melodyi i uczucia wiary, w niej tętniącego.

Do ucałowania pierścienia dopuszczeni byli Biskupi i przewodnik naszej pielgrzymki, czcigodny ks. prałat Smoczyński.



Wszyscy pragnęliby zostać jaknajdłużej u stóp tronu Apostolskiego, ale nadszedł czas rozstania. Z wysokości tronu przeszedł Ojciec Święty na lektykę, z której znowu błogosławi wszystkim, przybyłym na uczczenie Jego jubileuszu. Rozrzewnienie powszechne jeszcze większe, łzy w oczach pielgrzymów polskich—lśnią się, jak brylanty, szlochanie idzie po sali... Zniknął już z oczu, a serca nasze idą wciąż za nim... Ojcie, błogosław!

**Encyklika.** W nowej Encyklice, Ojciec Ś-ty z wielką mocą i nader wymownie karci barbarzyńskie, oburzające postępowanie rządu francuskiego z katolickimi zgromadzeniami zakonnymi. „Dlatego przeciwko klasztorom i stowarzyszeniom religijnym zwróciła się zaciekłość bezbożnych wrogów Kościoła, ponieważ są one chlubą religii i społeczności katolickiej—objaśnia Encyklika. Ojciec Święty wspomina ze zgrozą i boleścią głęboką o niecnym środkach, przeciwko nim przedsiębranych, które każdy człowiek uczciwy, szlachetnie myślący, surowo potępić musi. Ani życie cnotliwe, nieskazitelne, ani cześć i miłość wiernych, ani wreszcie prawa państwowe nie ochroniły od prześladowania zgromadzeń zakonnych. Cały świat mówi o wolności, a zakonnicy, ludzie pełni poświęcenia aż do zaparcia się siebie, którzy całe życie wypełniają troską o chwałę Bożą i dobro bliźnich, pozbawieni zostali wszelkich praw, wygnani z kraju ojczystego, skazani na tułactwo.“—Łzy nabiegają do oczu, gdy się czyta ten ustęp doniosłej, pełnej mądrości, tchnieniem Bożem namaszczonej Encykliki.

= W święta Wielkanocne, Ojciec Ś-ty nie zmienił zwykłego trybu życia. W niedzielę wstał o 6-ej rano, odprawił Mszę Ś-tą, a następnie udzielał licznych posłuchań. Również nic nie zmienił w trybie pożywienia. W niedzielę Kwietniową, jak corocznie, ofiarowano Mu kosztowne palmy z San-Remo i Bordigery.

= Polacy, zamieszkali w Ameryce, wysyłają do Rzymu grono swoich przedstawicieli z hołdem jubileuszowym. Do tej pielgrzymki jubileuszowej należą: ks. arcybiskup Kratzer z Milwaukee, ks. Pitas z Buffalo i ks. Wacław Kruszka z Ripon. Pątnicy złożą u stóp tronu Ojca Ś-go prośbę o utworzenie w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej siedmiu dyccezji polskich. Prośbę ową uchwalono podczas obrad zjazdu Polaków-katolików, który się odbył w roku ubiegłym, w mieście Buffalo. Sprawdzono bowiem wtedy, że w Ameryce północnej zamieszkuje mnóstwo Polaków-katolików i że liczba ich z każdym rokiem wzrasta. Jeżeli Ojciec Ś-ty do prośby się przychyli, w takim razie utworzone zostaną dycyezje: w Chicago, gdzie mieszka 292 tysiące Polaków, w Nowym-Jorku, gdzie się znajduje ich 186 tysięcy, w Filadelfii — 176

tysięcy, Cincinnati — 186 tysięcy, Milwaukee — 142 tysiące, w San-Paul — 80 tysięcy i w Bostonie, gdzie przebywa 76 tysięcy.

— Biskupi amerykańscy przysłali Ojcu Ś-mu piśmienne wyrażenie hołdu i życzeń. W piśmie tem wielbią działalność Wielkiego Papieża. Ojciec Ś-ty odpowiedział na to również piśmiennie, podnosząc zasługi biskupów amerykańskich dla religii katolickiej, zwłaszcza przez zakładanie licznych szkół i stowarzyszeń.

— W kaplicy Sykstyńskiej, pielgrzymi francuscy z dyecezyi Amiens oraz belgijscy złożyli Jego Świątobliwości hołd jubileuszowy. W liczmem tem gronie, znajdowali się także współpracownicy gazet belgijskich, którzy w imieniu wszystkich kolegów swoich ofiarowali Ojcu Ś-mu dary jubileuszowe. Kardynał Mathieu, przedstawivszy pątników, zapewnił Ojca Ś-go o ich do osoby Jego przywiązaniu, o posłuszeństwie synowskiem, jakie zawsze dla wszystkich Jego nauk okazują. Wreszcie kardynał wspomniął o ostatniej Encyklice, a ponieważ ją Ojciec Ś-ty nazwał „swoim testamentem“, nadmienil: „Przyjmujemy tę nazwę, z tym jednak warunkiem, że Wasza Świątobliwość dać raczy światu jeszcze kilka takich dokumentów“.

**Warszawa.** Najdostojniejszy ks. arcybiskup, Wincenty Chościak Poppel, przesłał Ojcu Ś-mu hołd jubileuszowy, za pomocą telegrafu, na ręce kardynała Rampolli, w tych wyrazach: „W rocznicę koronacyi Jego Świątobliwości, mam zaszczyt prosić Waszą Eminencyę, aby raczył złożyć u stóp Najwyższego Pasterza hołd czci najwyższej, najgłębszego szacunku i posłuszeństwa synowskiego, tak w mojem, jako też duchowieństwa i ludu dyecezyi mojej imieniu“. Kardynał Rampolla odpowiedział J. E. ks. Arcybiskupowi, również telegraficznie, temi słowy: „Ojciec Ś-ty, przyjmując ze szczególną łaskawością hołd czci, błogosławi z całego serca Waszej Ekscelencyi oraz całej dyecezyi“.

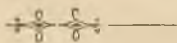
**Łowicz.** We wszystkich kościołach miejscowych odprawiono uroczyste nabożeństwa jubileuszowe. Świątynie były pięknie przystrojone; naprzeciwko ambon poumieszczano, zdobne w kwiaty i wieńce, portrety Ojca Ś-go, które wierni z wielką czcią i pobożnością oglądali.

**Zasław.** W klasztorze tutejszym odprawiono uroczyste nabożeństwo na intencyę Ojca Ś-go. Mszę Ś-tą celebrował ks. Bohusz, w otoczeniu kapłanów miejscowych, a kazanie, zastosowane do okoliczności, wygłosił ks. Oraczewski. Wierni z miasta i okolic zgromadzili się bardzo licznie.

**Poznań.** Do Rzymu wybiera się z dyecezyi poznańsko-gnieźnieńskiej grono sodalisów Maryańskich. Towarzyszyć im będzie J. Ekscelencya ks. biskup Likowski. Pielgrzymka wyruszy we wrześniu.

**Francya.** Biskup z Angouleme, ks. Richard, urządza jubileuszową pielgrzymkę do Rzymu. Zapowiada się ona licznie i zapewne połączy się z innemi gromadkami pielgrzymów, które dążą do Wiecznego Miasta ze wszystkich stron Francyi, z hołdem dla Wielkiego Papieża.

**Niemcy.** W Kolonii nadreńskiej, gdzie się ogniskuje ruch katolicki zachodniej części Niemiec, obchodzono jubileusz Jego Świątobliwości Leona XIII, przyczem urządzono wielkie zebranie publiczne, na którym był także obecny ks. arcybiskup Simar, ze swoim sufraganem. Przewodniczył na tem zebraniu radca sprawiedliwości Reren, który niedawno w radzie niemieckiej państwa w obronie Polaków przemawiał. Wygłoszono podczas zebrania wiele mów, w tej liczbie trzy dłuższe. Jeden z nauczycieli mówił o wzajemnym stosunku Kościoła, papiestwa i narodu. Następnie wysłano do Ojca Ś-go następującą depeszę telegraficzną: „Ojcze Święty! Licznie zgromadzeni około swego arcybiskupa i biskupa katolicy mieszkańcy Kolonii, zawsze wiernej córki Rzymu, uroczyście obchodząc rozpoczęcie dwudziestego piątego roku Twoich chwalebnych rządów, życzą Ci, Najukochańszy Ojcze Święty, jako najprzywiązane dzieci, szczęścia, ufając w Boga, że On, Wszechdobrotliwy i Wszechmocny, zachowa Cię jeszcze długie lata w dobrym zdrowiu, i proszą o błogosławieństwo apostolskie“. Uroczystość zakończoną została odśpiewaniem „Hymnu Papieskiego“.







Kościół parafialny pod wezwaniem Świętego Zygmunta w Częstochowie.



## Nowiny z Częstochowy.

**Kościół parafialny Ś-go Zygmunta w Częstochowie.** Od lat kilkunastu katolicy mieszkańcy Częstochowy odczuwają wielki brak kościołów, kościół bowiem Jasnogórski przepełniony jest zawsze pątnikami, kościoły zaś parafialne: Ś-go Zygmunta i Ś-ej Barbary są zaszczupłe względnie do kilkunastotysięcznej ludności każdej z tych parafij. Z wielką też radością powitano projekt budowy nowego kościoła dla parafii Ś-go Zygmunta. Po zatwierdzeniu planów przez władze rządowe, rzucono się z zapalem do niwelacyi gruntu, gdzie ma stanąć świątynia i do zakładania fundamentów.

Czcigodny ks. prałat Waberski z właściwą sobie wytrwałością zachęca parafian do niesienia pomocy i sam, każdą wolną chwilę od posług parafialnych, spędza na miejscu budowy. Projekt nowej świątyni podajemy na str. 79, według pomysłu budowniczego Wojciechowskiego.

Sądzimy, że dla wielu interesującą będzie chociaż krótka wiadomość o parafii Ś-go Zygmunta.

Częstochowa, w najstarszych dokumentach z r. 1440 zwana *Czanstochowa*, niezawodnie należy do tych miejscowości, w których bardzo wcześnie w naszym kraju święta wiara katolicka zaprowadzoną została. — Bliskość Czech i Moraw, skąd światło wiary do nas się dostało, bliskość Krakowa, w którym Ś-ty Wojciech przebywał, potwierdzają to nasze przypuszczenie. — Stąd też, gdy Władysław, książę opolski, w r. 1382 sprowadza na Jasną-Górę (w dyplomie nazwana jest *Złotą górą*) Ojców Paulinów, Częstochowa była już ludną osadą chrześcijańską i miała kościół Ś-go Zygmunta oraz parafią kanonicznie erygowaną, należącą do dyecezyi Krakowskiej, jak o tem opiewa książka: *Liber beneficiorum dioecesis Cracoviensis* z r. 1440.

Już w roku 1440 była fabryka żelaza Gnashyn (Gnaszin), która należała do klasztoru.



Parafia pozostawała pod zarządem kapłanów świeckich; — dopiero za plebana Piotra z Charzewic, Kazimierz IV, ówczesny król polski, jako kollator Częstochowskiego beneficjum, przekazał prawa swoje klasztorowi na Złotej-Górze, a Jan de Rzeszów, biskup Krakowski, dekretem z d. 12 grudnia 1474 r., parafią i kościół Ś-go Zygmunta ze wszystkimi fundacyami przyłączył i wcielił do klasztoru Jasnogórskiego.

Odtąd prowincyał Jasnogórski przedstawiał jednego z Ojców Paulinów biskupowi na proboszcza, a ten go zatwierdzał.

Prawo wizytacyi kościoła i parafii pozostało jednak przy Władzy Biskupiej.

Przy tym kościele wybudowali O. O. Paulini klasztor i w nim przemieszkiwało zawsze kilku Ojców, z których przełożony był proboszczem, inni wikaryuszami, a jeszcze inni zajmowali się gospodarstwem.

Kościół Ś-go Zygmunta w swej fundacyi jest bardzo starożytnym, gdyż już w r. 1440 wspominają o nim akta znajdujące się w kapitule krakowskiej.

W budowie swej jednak nosi cechę późniejszych przeróbek. — Rys starożytności może pozostał w presbyterjum i w głównej nawie, które prawdopodobnie zachowały pierwotne kształty architektoniczne, — nawy zaś boczne są późniejszą przybudówką. To samo powiedzieć można i o wieżach.

Taki porządek trwał aż do r. 1867, w którym z rozporządzenia władzy świeckiej kościół i parafia wróciły pod zarząd kapłanów świeckich.

Podajemy w tomie niniejszym ilustracye, wiernie odtwarzające ten kościół, oraz wielki ołtarz w nim się znajdujący.

**Kompania z Rędzin.** Dnia 4 maja przybyła na Jasną-Górę liczna kompania z Rędzin, z proboszczem swoim ks. Wróblewskim na czele.

Pobożni Rędzinianie dwa razy do roku przybiegają do stóp Maryi, a zawsze z uczuciem prawdziwej pokory i czci rzetelnej, a należytej dla tego świętego miejsca. Tak bywało za praociców, daj Boże, aby tak było i za lat setki. To życzenie wypowiedział Czcigodny Ojciec Pius, witając ową pobożną gromadkę. Zaznaczył też w swej przemowie nie mało zalet, któremi szczycić się może parafia rędzińska — jako to: miłość i uległość dla swego dzielnego pasterza kapłana, zgodę i jedność, które przy Bożej pomocy pozwoliły niebogatej parafii rędzińskiej wznieść kościół w stylu gotyckim, wspaniały na podziw, że go niektórzy tumem nazywają, jako owe ogromne świątynie po wielkich miastach zagranicznych. To też Pan Bóg parafianom rędzińskim błogosławi, bo otworzyły się im nowe źródła zarobku przy nowo powstającej tam fabryce. Oby tylko z nowym zarobkiem nie zakradły się do tych chat



Ołtarz główny w kościele Świętego Zygmunta w Częstochowie.





pocziwych obce a nie cnotliwe obyczaje i nie wygnały z nich świętej miłości wzajemnej i zgody, a także owej starodawnej prostoty, bez której niema ani miłości, ani zgody. To też słusznie O. Pius przestrzegał pielgrzymów, mówiąc im, że oprócz świątyni, w której się modlą, mają także i drugą — serca pocziwe, które, jak Pismo Święte powiada, są najmiłszą Bogu świątynią. Niechże jej strzegą, aby tam żadne pogańskie bogi dostępu nie miały, jeno Bóg jeden prawdziwy. Niech im ku temu dopomoże Marya, Najlepsza Opiekunka!

**Ksiądz prałat Kazimierz Weloński w klasztorze O. O. Paulinów na Jasnej-Górze.**

Dzień 13 kwietnia był dla klasztoru Jasnogórskiego dniem serdecznej radości i wesela. Bóg miłosierny, który w mądrości swej obdarza łaską Ducha Ś-go wierne dzieci Kościoła katolickiego, dążące do zjednoczenia się ściśłego z Chrystusem Panem, zesłał promień świętego natchnienia na kapłana wielkiej powagi i głębokiej nauki. Kierowany tem natchnieniem Bożem, rzucił godności i honory hierarchiczne kapłana świeckiego, aby w celi klasztornej, jako cichy i pokorny zakonnik, złączyć się ściślej z Zbawicielem Ukrzyżowanym i oddać się pracy duchownej nad coraz wyższem uświętobliwieniem się.

Tym kapłanem jest ksiądz Kazimierz Weloński, prałat katedry Płockiej i były regens seminaryum dyecezyalnego. Urodzony w roku 1831 wstąpił do seminaryum duchownego w Sejnach 1852 roku, skąd wysłany został do akademii duchownej w Warszawie. Po skończeniu w niej nauk pozostał w Warszawie, pełniąc obowiązki prefekta szkoły realnej i wikaryusza parafii Ś-go Aleksandra. W 1862 roku mianowany został regensem konsystorza metropolitalnego warszawskiego, a w następnym roku proboszczem parafii Ś-go Aleksandra i kanonikiem honorowym katedry warszawskiej.

W następnych latach widzimy ks. Welońskiego w różnych miejscach cesarstwa, już to obok Arcybiskupa Felińskiego, już to razem z księdzem Michałem Nowodworskim szczerym swoim przyjacielem; — tak aż do r. 1872, w którym przybył do dyecezyi Płockiej. — Tu rozpoczął pracę kapłańską, jako proboszcz w Serocku, — w dwa lata przeniesiony na proboszcza do Brańszczyka — a w r. 1877 został mianowany przez biskupa Gintowta regensem seminaryum dyecezyalnego Płockiego i proboszczem w Winnicy, powiatu pułtuskiego.

Na tak ważnem stanowisku, jakim jest kierownictwo zakładu naukowego duchownego, okazał wielką energię i poświęcenie. To też wytrwała swą pracą podniósł bardzo moralny i materyalny stan seminaryum. W miarę jak mnożyły się zajęcia, rósł zapał i energia księdza Welońskiego. Do pracy regensa seminaryum przybyła także troska pasterska, jako proboszcza parafii Płockiej. Kościół parafialny, choć

ubogi pod względem architektonicznym odświeżył, odmalował i przeprowadził do należytego porządku.—Parafian umacniał w wierze i moralności drogą serdecznych przestróg i upomnień, czuwając wytrwale nad ładem i porządkiem w parafii.

Władza dyecezyjalną, oceniając dwudziestoczteroletnią pracę ks. Welońskiego, jako wzorowego regensa seminaryum, mianowała go w roku 1883 kanonikiem katedralnym, a w roku 1890 prałatem katedry płockiej.



**Ks. prałat Weloński, w zakonie Ojców Paulinów  
O. Justyn.**

Dusza jednak zacnego kapłana pragnęła wyższego ascetycznego życia, bo idąc wzorem Błogosławionego Wincentego Kadłubka, rzucił honory i godności i cichuteńko przybył do klasztoru Jasnogórskiego, prosząc w pokorze o przyjęcie go do szczupłego grona braci zakonnych.

Rzewna ceremonia obłóczyn w habit zakonny odbyła się w następujący sposób: W kaplicy Ś-go Pawła, patriarchy zgromadzenia O. O. Paulinów, o godzinie 8-ej zrana O. Przeor poświęcił habit, szkaplerz, kaptur i pasek złożone na ołtarzu, odmawiając modlitwę: „Panie Jezu Chryste, któryś zasłonę śmiertelną na się przywdziać raczył, błagamy niezmierną obfitość Twojej szczodroblowości, abyś ten rodzaj odzienia, który Ojcowie Święci na znak niewinności, pokory i wyrzeczenia się świata nosić postanowili,

Ty raczył tak pobłogosławić, aby ten sługa Twój Justyn, \*) który je używać będzie, zasłużył na połączenie się z Tobą, Który żyjesz i królujesz z Bogiem Ojcem i Duchem Świętym po wszystkie wieki. Amen.“

\*) To imię zakonne przyjął ks. prałat Weloński.

Pokropiwszy szaty wodą święconą wymówił: „Niech Cię wyzuje Pan ze starego człowieka wraz z jego czynami“, a potem, ubierając nowicyusza przy pomocy Ojców mówi: „Niechaj Cię Pan przyodzieje w nowego człowieka, który według Boga stworzony jest w świętości i w sprawiedliwości prawdy“.—Ubrany w habit nowicyusz upada na ziemię i leży krzyżem, podczas gdy O. Przeor wspólnie z Ojcami odmawia hymn do Ducha S-go. \*)

Przybądź, Boże, Duchu Święty,  
I puść w serca z nieba wzięty  
Boski promień Twej jasności.

Przyjdź, ubogich Ojcie miły,  
Przyjdź, rozdawco darów, siły,  
Przyjdź, niebieska serc światłości.

O, pociecho zasmuconych,  
Słodki gościu dusz strapionych,  
Błoga wszystkich serc ochłodo.

W pracy miłe wypocznienie,  
W skwarach lube orzeźwienie,  
W płaczu ulgo i osłodo.

O, najświętsza Ty światłości,  
Racz napęlić w Twej miłości  
Głębie serca Twoich wiernych.

Bez pomocy Twej, o, Boże,  
Nic, prócz grzechu, być nie może  
W ludziach słabych i mizernych.

Obmyj wszystko, co skalane,  
Zwilż, co uschło zmarnowane,  
Ulecz wszystko, co zranione.

To, co twarde, zmiękczone w łagodne,  
Ogrzej wszystko, co jest chłodne,  
I naprostuj, co skrzywione.

Wiernym, którzy Ciebie znają,  
W Tobie ufność pokładają,  
Siedmiorakie daj swe dary.

Daj obfitość z zasług plonu,  
Daj szczęśliwą chwilę zgonu,  
I wesele daj bez miary. Amen.

---

\*) Hymn do Ducha S-go podajemy według tłumaczenia J. E. Arcybiskupa Symona.



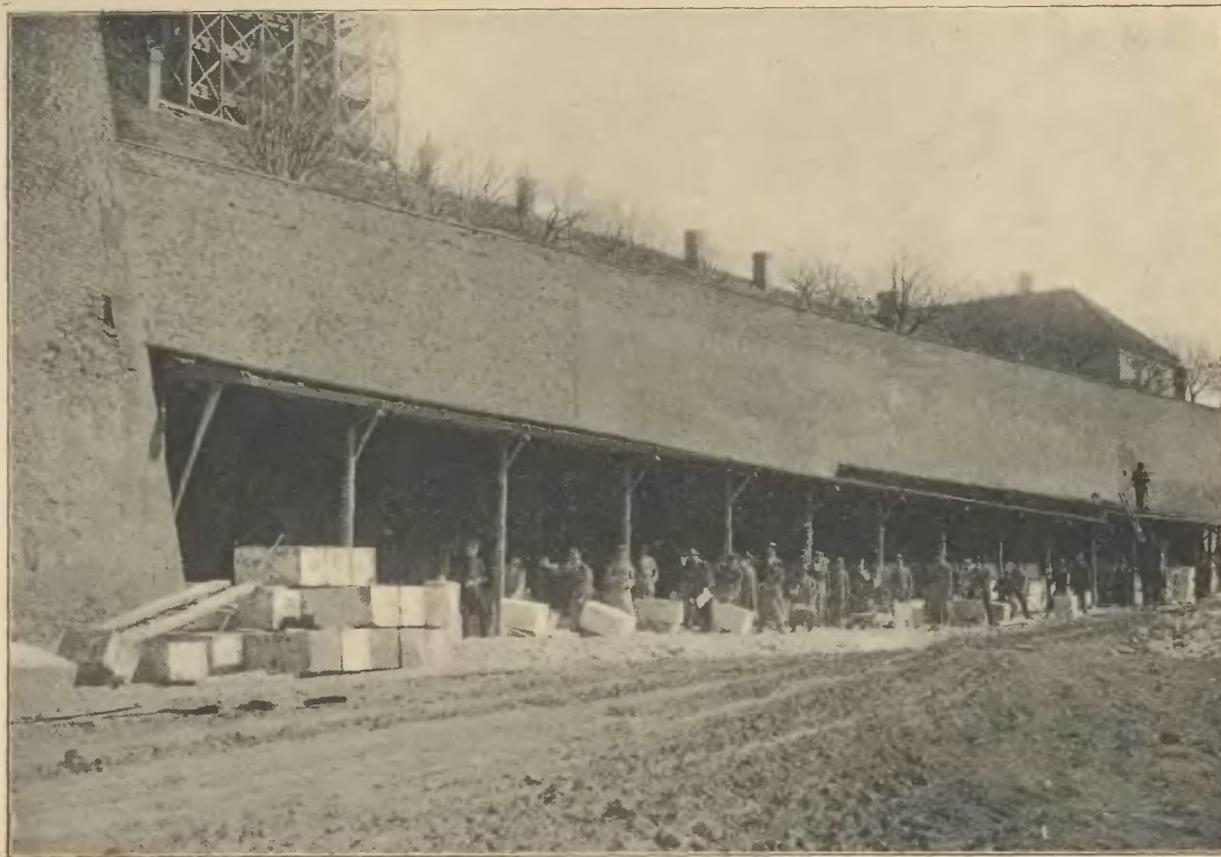
I znów modlitwa: „Boże Ojcze, przebaczący winy, który łagodzisz surowość kary, nie chcąc aby syn nosił nieprawości ojca i dziwnem zrządzeniem częstokroć przez grzesznych nawet dobrodziejstwa swoje rozlewasz błagamy łaskawości Twojej, aby temu słudze Twojemu Justynowi nie przeszkodziło to, że szatę zakonną przez nas, acz takiego zaszczytu niegodaych, otrzymał, lecz niech posługowanie, które my na zewnątrz sprawujemy, Ty wewnątrz darami Ducha Ś-go racz ubogacić. — Przez Pana naszego Jezusa Chrystusa.“ Amen.

Teraz dopiero powstaje nowicyusz, którego pokropiwszy wodą święconą O. Przeor darzy pocałunkiem pokoju. — Po skończonej ceremonii obłóczyn Wielebny O. Justyn odprawił w kaplicy Matki Boskiej z asystą prymicyę, jako zakonnik, to jest pierwszą Mszę Ś-tą na intencyę swoją i całego Zgromadzenia O. O. Paulinów.

W końcu przytaczamy serdeczne przemówienie O. Przeora przed rozpoczęciem ceremonii tej treści: „Ceremonie wszystkie, o ile dotyczą osób zakonnych są bardzo ciche i skromne. Są takimi, gdy wstępują w progi zakonne — są takimi z przebiegu tego życia i aż do końca... bo też natura i zadanie życia zakonnego są odrębne. — Kościół Ś-ty, ta matka najlepsza, co serce Jej miało w głębi najlepszego dla dzieci, potrafiła w czyn zamienić i stworzyć instytucye, które jak niedawno Ojciec Ś-ty w liście ogólnym wyraził się, są żrenicą kościoła. Ponieważ one z Boga pochodzą, nie dziw, że zawsze i wszędzie Pan Bóg budzi powołanie do zakonu osób poważnych zasługą i stanowiskiem. Wspomniałem, że ceremonie zakonne są bardzo ciche i skromne. Ograniczają się tylko do modłów. — Wśród tych modłów osoby albo wstępują w progi życia zakonnego, albo z niem ściślej się zaślubiają.

Pozwalam sobie odstąpić dzisiaj od zwyczaju tą przemową. A dlaczego? Bo serce moje i braci radeby coś powiedzieć, a i wy obecni, kochani katolicy, radzibyście coś usłyszeć i chwilę tę zrozumieć.

Oto krótko wam powiem: Kościół Ś-ty powołanie do życia zakonnego poczytuje za największą łaskę Bożą.—Daruj, Czcigodny Kapłanie, że zaniepokoić muszę Twą skromność. Taką łaską wiedziony Czcigodny Kapłan, którego za chwilę ujrzycie w bieli, porzucił wysoką godność w kościele prałata, rektora seminarium i proboszcza wielkiej parafii, aby się ukryć w gromadce braci Ś-go Pawła i w celi klasztornej.— Więcej nie powiem, a i to wystarczy.—Z braćmi swymi i wiernym ludem katolickim z całego serca zanosić będziemy teraz modły, aby obfitość łask Bożych spłynęła na Ciebie, Czcigodny Bracie! Niech pokój i wesele gości stale w twej duszy — ten pokój, którego świat dać nie może, który przewyższa wszelki zmysł. — Niech szczególna opieka Tej Pani potężnej, co nas tu szósty wiek na służbie trzyma, — niech opie-



Przygotowywanie ciosów z kamienia szydłowieckiego do budowy wieży Jasnogórskiej.





ka Patryarchy naszego Ś-go Pawła, pierwszego pustelnika, oraz Ś-go Justyna, patrona Twego, pod którego szczególniejszą protekcję oddajemy Cię, Czcigodny Bracie, i Wszystkich Ś-tych otacza Cię zawsze. Amen“.

**Budowa wieży.** Z nastaniem wiosny roje pracowników krzątają się żywo około budowy wieży. Roboty prowadzone są gorliwie i z wielką starannością. Rozebrano dwie kondygnacye muru przepalonego, aby zastąpić nowym. Ciosy z kamienia szydłowieckiego służyć będą do obłożenia całej wieży od dołu do góry. Krzepiący serce, a wierny widok mrowia pracowników przy odbudowie wieży podajemy na str. 97.



## Nowiny z daleka i z blizka.

**Imiennicy Leona XIII.** Dwunastu Papieży nosiło imię Leona, to samo, jakie przybrał Joachim Pecci, po wstąpieniu na Stolicę Ś-tą. Leon I, zwany też Wielkim, panował od 440 do 461 r., a wstąpił na tron po Sykstusie III. Słynne są jego rządy; zawarł pokój z najeźdźcą ze Wschodu, Atyllą, zwanym Biczem Bożym, a w 4 lata potem ocalił Rzym, kiedy mu Genzeryk zniszczeniem zagrażał. Leon II, rodem z Sycylii, panował tylko od 682 do 683 roku; ten Papież udoskonalił pienia kościelne (gregoryańskie). Leon III, Rzymianin, wstąpił na tron po Adryanie, w r. 795 i panował do r. 816; doznał licznych przeciwności, nawet więzienia, z którego uwolniony został przez Karola Wielkiego, a następnie tego mocarza ukoronował w Rzymie na cesarza. Leon IV, również Rzymianin, panował od 847 do 855 r.; walczył z Saracenami, wybudował twierdzę Leopolis, dziś Civita Vecchia zwaną i otoczył murem dzielnicę Watykańską. Leon V, wybrany w r. 907, panował tylko 40 dni. Leon VI panował rok jeden, zmarł w r. 929. Leon VII, od 936 do 939 r.; rządził w burzliwych dla Kościoła czasach. Leon VIII od 963 do 965 r. Leon IX od 1049 do 1054 r. Leon X od 1513 do 1521 r., jeden z naj-słynniejszych Papieży, pochodził z rodu Medyceuszów. Gorliwie opieko-wał się naukami i sztukami pięknymi, przywrócił w Rzymie uniwersy-tet, powołał do niego znakomitych profesorów, znacznie posunął budo-wę katedry Ś-go Piotra. Leon XI, również z rodu Medyceuszów, wybra-ny w r. 1605, panował tylko 27 dni. Wreszcie Leon XII od 1823 do 1829 r.

**Ksiądz prałat Leon Jungowski.** Wierni, należący do warszawskiej pa-rafii Najświętszej Maryi Panny, obchodzili w dniu 10 kwietnia r. b. podwójną uroczystość, dnia tego bowiem przypadała sześćsetna rocznica

konsekracji ich kościoła, wznoszącego się na Nowem Mieście i czterdziesta przyjęcia święceń kapłańskich przez ich czcigodnego proboszcza, ks. prałata Leona Jungowskiego. Obydwie te rocznice mają dla całej społeczności katolików polskich głębsze i donioślejsze znaczenie, więc też uczczone zostały należnie, za pomocą solennych nabożeństw, nadto czcigodny ks. prałat Jungowski otrzymał liczne wyrażenia hołdu i uznania, z powodu zasług, jakie przez lat czterdzieści świętej a tak mozolnej pracy w Winnicy Pańskiej położył.

Poważne, pełne chlubnej owocności są zasługi czcigodnego ks. prałata Jungowskiego. Przez skromność wrodzoną, ewangeliczną, usuwał się zawsze z widowni szerszej, lecz działalność jego zawsze była tak skrzętna, gorliwa, tak w plon dobroczynny dla wiernych wydajna, że nie mogła się ukryć w zaciszu, nie mogła bez wdzięczności serdecznej ze strony społeczności katolickiej pozostawać. Jak blaski słoneczne opony chmur ciemnych przedzierają i spływając na ziemię, roztaczają do broczynne światło i ciepło, które każdy dostrzedz i uczuć musi: tak samo czyny ludzkie cnotliwe, szlachetne, mądrością i poświęceniem napojone, wystrzelają po nad szare rzesze, jaśniejają majestatem wspaniałym, który budzi w sercach cześć, uwielbienie i wdzięczność. A właśnie czyny ks. prałata Jungowskiego, jego działalność, zawsze na świętobliwości, mądrości głębokiej, dobroci gołębiej i poświęceniu były oparte, tedy błogosławione ich skutki musiały zostać poznane, musiały zajaśnieć wonnym kwiatem czci i wdzięczności w sercach szerokiego ogółu.



Ks. prałat Leon Jungowski.

Nie pora się rozwodzić nad pracą czcigodnego ks. prałata, spisywać jego zasługi, iść krok za krokiem za nim, bo ich lista nie zamknie ta i długo jeszcze, czego spodziewamy się i pragniemy serdecznie, wypełniać się będzie. Ograniczymy się tedy do złożenia mu wyrazów głębokiego i szczerzego uznania, do powtórzenia życzeń gorących, które już



z tyłu ust słyszał, streszczających się w słowach: *Ad multos annos!* Oby mu Najdobrotliwszy Ojciec Niebieski pozwolił najdłużej pracować na chwałę Swoją, na pożytek Kościoła Świętego, dla dobra ogólnego. Życzenia te znajdują odgłos dźwięczny w sercu każdego, ktokolwiek o działalności czcigodnego ks. prałata słyszy, a takich serc jest mnóstwo, biją one we wszystkich zakątkach kraju.

Do słów niniejszych przyłączamy wizerunek czcigodnego ks. prałata oraz przypomnienie, iż działalność jego w trzech zawsze płynęła kolejach. Była tedy i jest przedewszystkiem kapłańską, a o jej doniosłości to najlepsze daje świadectwo, że władza duchowna, powierzając mu rozmaite, coraz wyższe stanowiska, wyniosła go wreszcie do godności prałata kapituły archidiecezjalnej. Była i jest nadto ta działalność obywatelską, bo czcigodny jubilat do każdej sprawy znacznej, ogólne znaczenie mającej, skwapliwie się przyczyniał, popierał ją radą, wskazówką, wpływem lub szkatułą swoją. Słynie oprócz tego ks. prałat, jako znakomity kaznodzieja, słynie, jako autor wielu dzieł religijnych, niezmiernie cennych, trwałej, rzetelnej wartości. Musimy jeszcze nadmienić o zaletach i cnotach towarzyskich czcigodnego jubilata — o jego przystępności, sercu miłosiernem, owej uprzejmości poważnej, chwytającej wszystkich, którzy mają sposobność zbliżyć się do niego. Wszystko to, razem wzięte, składa się na postać czcigodną a serdeczną, przed którą mimowoli czoła się schylają. W herbarzu mężów pracy i zasługi ks. prałat Jungowski poczesne zajął miejsce.

Przy sposobności, powiemy słów kilkoro o świątyni, której czcigodny ks. prałat jest proboszczem.

Nosi ona tytuł Najświętszej Maryi Panny i zajmuje między świątyniami warszawskimi pod względem wieku, drugie z rzędu miejsce po kościele Ś-go Jana. Zbudowała ją Anna, córka Kiejstuta a małżonka ks. mazowieckiego Janusza starszego, otrzymawszy na to przywilej od męża w r. 1409. Aktu poświęcenia kościoła dopełnił biskup poznański, Wojciech Jastrzębiec, i on też w r. 1411 utworzył parafię dla Nowego Miasta. Bolesław IV, ks. warszawski i zakroczymski, znacznie świątynię rozszerzył. W r. 1562 przyłączono parafię Panny Maryi do kolegiaty Ś-go Jana, ale następnie, w r. 1608, biskup Jędrzej Opaliński znów ją oddzielną parafią uczynił. Podczas wojny szwedzkiej, kościół srodze został zniszczony i dopiero za króla Jana Sobieskiego odbudowano go, z pozostawieniem dawnych murów. Z kolei odnawiano go w latach 1829, 1836, 1840, 1841, wreszcie w r. 1883, pod kierunkiem Feliksa Zygałlewicza. Mury zewnętrzne, zwłaszcza pięciopiętrowa dzwonnica z zegarem, noszą ślady stylu romańskiego. (Styl ten, to jest cechy budowy, można poznać po: łukach półkolistych, filarach złożonych z kolumn wysokich, cienkich; po kopule ośmiobocznej; po ozdobach przeważnie prostolinijnych, przeplatanych wyobrażenia-

mi bajecznych zwierząt, twarzy ludzkich i roślin). Nawa środkowa ma sklepienie ostrołukowe, żebrowane krzyżowo, dwie zaś nawy boczne mają sklepienia okrągłe. Jeden ze starożytnych ołtarzy, z Męką Pańską, jest całkowicie z drzewa rzeźbiony. W kościele znajdują się nagrobki: ks. Mateusza Jagodowicza, kanonika katedry plockiej, zmarłego w r. 1666; Stanisława Woytowicza, burmistrza Nowej Warszawy, zm. w r. 1663 (za presbiterium, po stronie lewej ołtarza wielkiego); Mikołaja Mateusza Zachniewicza, kanonika warszawskiego, zm. w r. 1735; Bonawentury do Galves, lekarza, zm. w r. 1774 (za kościołem, wprost nawy ołtarza wielkiego); Antoniego Kotowskiego, biskupa nominata, sufragana łowickiego, zm. w r. 1845. Oprócz tego spoczywają w tym kościele bez nagrobków: ks. Karski, biskup janopolitański, sufragan gnieźnieński zm. w 1784; ks. Antoni Portalupi, nauczyciel króla Stanisława Augusta, zm. r. 1791; Bartłomiej Józef Wessel, kasztelan warszawski, kawaler maltański, zm. r. 1781. Dwa posągi, znajdujące się przy kaplicy śś. Barbary, wyobrażające Śś. Piotra i Pawła, pochodzą z nieistniejącego kościoła Śś. Benona.

Adam Jarzemski, budowniczy i muzyk króla Władysława IV, wspomina o Nowem Mieście i kościele Panny Maryi w te słowa: „Przed Nowem Miastem był niegdyś dom pana starosty żmudzkiego, z dobrą wsią i poddanymi, ale ten dom zgorzał ze szczętem, tylko się sklepy (piwnice) zostały. Szedłem dalej do Nowego Miasta, tam tylko dwa domy murowane, inne z drzewa. W bok ku wałowi jest niewielki dom pana Sapiehy, kasztelana wileńskiego, z małym gankiem i ogrodem na dole. Rynek Nowego Miasta jest bardzo cudny, ratusz ma odnowiony z wieżyczką, też i swoich burmistrzów i rajców, od których apelować można do starosty warszawskiego. Z rynku idzie się do kościoła Panny Maryi, bardzo dawny i ozdobny ten kościół jest. Ma nowe ołtarze, dobrych śpiewaków i wieżę z zegarem. Na cmentarzu Męka Pańska i szpital z domami kapłańskimi. Ulica poniżej Wisły gęsta jest w chałupy wiejskie, które zowią „morgami“. Tam dworscy słudzy i żołnierze mieszkają“. Tak oto wyglądała ludna i ruchliwa dziś dzielnica w r. 1643.

**Sandomierz.** W katedrze tutejszej odsłonięto uroczyscie i poświęcono dwa pomniki: ś. p. ks. biskupa Antoniego Sotkiewicza i ś. p. ks. prałata Antoniego Zwoleńskiego. Pomnik pierwszy, z marmuru włoskiego polerowanego, wmurowano przy wejściu do kaplicy Przenajświętszego Sakramentu, położono na nim napis łaciński, który po polsku tak się tłumaczy: „Antoni Ksawery Sotkiewicz, r. 1826 urodzony, 1883 konsekrowany jako biskup sandomierski, zmarł r. 1901. Znamienity gruntowną nauką a także prowadzeniem spraw kościelnych i doświadczeniem.

Świetność obrzędów w sprawowaniu publicznej czci Boskiej podniósł. Starał się o postępek duchowieństwa w pobożności przez rekolekcye, a w nauce—przez egzamina. Katechizacyę ludu ujął w porządek. Wiele się przyczynił do odnowy kościołów w dyecezyi, a zwłaszcza katedry sandomierskiej. Wdzięczne i w smutku zostające duchowieństwo ten pomnik Pasterzowi swojemu wzniosło Niech odpoczywa w pokoju!“ Na pomniku drugim widnieje napis, również łaciński, który znaczy: „Ś. p. ks. Antoni Zwoleński, wikaryusz kapitulny sandomierski, prałat katedry. Urodzony 1783, zmarły 1864 r. Zamiłowany w pobożności, pokorze, umiarkowaniu i naukach. Istotnie zasłynął zaletami, jako wychowaniec Benedyktynów z góry Świętokrzyskiej. Odznaczył się szczodroblivością dla szpitala Ś-go Miłosierdzia. Niech odpoczywa w pokoju!“ W kościele Ś-go Michała zaś, umieszczono tablicę z piskowca, ku uczczeniu ś. p. ks. Michała Januszewskiego, z takim napisem po polsku: „Ś. p. ks. Michał Januszewski, urodzony 1806, zmarły 1891 r. Długoletni kapelan zakonny. Przyczynił się do kościoła ozdoby i naprawy klasztoru, czyniąc dobrze w cichości. Niech odpoczywa w pokoju!“

**Kamieńsk.** Kościół parafialny istnieje tu od r. 1291. Przechodził rozmaite koleje, był niszczony i odbudowywany. W roku 1858 został odnowiony gruntownie, lecz od tego czasu liczba parafian zwiększyła się, wzrosły też potrzeby religijne, kościół tedy należy koniecznie rozszerzyć. Zajął się tem ks. kanonik Jakubowski, a tak skutecznie, że już przystąpiono do robót, które będą prowadzone według planu budowniczego Nowickiego. Rozszerzenie będzie kosztowało 40 tysięcy rs., ale świątynia pomieści z górą 2 tysiące osób.

**Stulecie konsekracyi.** W warszawskim kościele Narodzenia Maryi Panny (po karmelickim) na Lesznie, odbył się obchód srebrnej rocznicy poświęcenia tego kościoła. Nieszpory uroczyste odprawił proboszcz miejscowy, ks. kanonik Niewiarowski, w otoczeniu duchowieństwa całej parafii, a podczas modłów artyści teatrów warszawskich, w połączeniu z chórem miejscowym, wykonali pienia religijne.

**Osieck.** W miasteczku tem zaczęto roboty około rozszerzenia kościoła. Pochłona one 50 tysięcy rubli, a suma ta zbiera się bez wielkich trudności, bo parafianie nie skąpią ofiar w tym celu. Cegłę do budowy dostarczają cegielnie z Żyżyna i Kawęczyna, cement przywozi się z Kielc, a wapno z Lublina. Zabiegliwość Osiecka powinna się stać dobrym przykładem dla pobliskiego Parysowa, gdzie tamtejszy ks. proboszcz usilnie się stara, aby wznieść nową świątynię.



### Zmarli ś. p.:

**Ks. Władysław Siarkowski**, zasłużony badacz dziejów oraz rzeczy ludowych, to jest zwyczajów, obyczajów, wierzeń, przesądów, zabobonów, baśni, pieśni, obrzędów, słowem wszystkiego, co dotyczy życia i stosunków ludu naszego miejskiego i wiejskiego. Poważne badanie przeszłości i życia ludu, wielce pożyteczne owoce przynosi. Doświadczenie z przeszłości czerpane uczy, jak postępować, aby się ustrzedz złego, aby nie uleść pokusie, aby unikać błędów; uczy, żeby zawsze trzymać się prawdy, drogi prostej, zbożnej, przez naukę Zbawiciela wskazanej i tym sposobem cel przez Boga człowiekowiznaczony osiągnąć. Rozpatrywanie zaś życia ludu poucza, czego temu ludowi brakuje, co on kocha, czci, do czego lgnie, jakie są jego przywary i cnoty, jak do serca jego trafić, jakim go sposobem ku dobremu pociągnąć. Badacze tedy dziejów i ludu mają dobro społeczności na widoku, a za ich mozoły powinniśmy im być wdzięczni tembardziej, gdyż praca ich bardzo trudna i na pieniądze się nie opłaca. Ś. p. ks. Władysław Siarkowski pełnił gorliwie obowiązki kapłańskie, a wszystkie chwile, od tych obowiązków wolne, badaniom dziejów i ludu poświęcał. Plonem tej jego pracy jest mnóstwo krótszych lub dłuższych rozpraw, drukowanych w przeróżnych czasopismach polskich, rozprawy zaś te, zebrane razem, utworzyłyby sporo dużych ksiąg. Do ważniejszych prac uczonego kapłana należą: „Wesele włościan z okolicy Sobkowa i Chmielnika“, „Groby kościoła Najświętszej Maryi Panny w Kielcach“, „Bulla erekcyjna dyecezyi i katedry kieleckiej“, „Zagadki z okolic Kielc“, „Materiały do ludoznawstwa polskiego z okolic Pińczowa“, „Wiadomości o zabytkach przedhistorycznych w Rembowie pod Pińczowem“, „Wiadomości o zabytkach przedhistorycznych na Turku, Morawicy i w Trzcionej gubernii kieleckiej“, „Opis pamiątek polskich w skarbcu cesarskim, w Wiedniu“ i wiele innych. Najwyższa polska rada uczonych, istniejąca w Krakowie, pod nazwą Akademii umiejętności, uczciła zasługi ś. p. ks. Siarkowskiego, powołując go na członka. Uczony kapłan urodził się w r. 1840, seminaryum duchowne ukończył w Kielcach i tam też, po otrzymaniu święceń kapłańskich, został wikaryuszem kościoła Najświętszej Maryi Panny. Pracował potem, jako proboszcz parafii Kije, jako regens konsystorza kieleckiego i jako kanonik honorowy dyecezyi sandomierskiej. Zmarł w Grodźcu, gubernii piotrkowskiej.

**Ks. Ignacy Piotr Domagalski**, kanonik katedry warszawskiej, przyszedł na świat w Sandomierzu, w r. 1828. Pochodził z rodziny ziemiańskiej,

nauki pobierał w szkołach radomskich, a do zawodu kapłańskiego przygotowywał się w seminaryum kieleckiem i warszawskiej akademii duchownej. Pracował w Kielcach, jako profesor seminaryum; w r. 1855 otrzymał godność kanonika lubelskiego; w r. 1862 został mianowany regensem konsystorza warszawskiego, w którym następnie pełnił obowiązki surogata. Ciężka choroba zmusiła go do usunięcia się od działalności; osiadł naprzód jako rezydent w Łagiewnikach, skąd w r. 1890 wrócił do Warszawy na zamieszkanie, gdzie też żywota dokonał.

**Ks. Jan Chyliczkowski**, administrator parafii Brześć Kujawski, kanonik honorowy kapituły włocławskiej; przed kilkoma laty uczony ten kapłan wydał obszerną pracę o Syberyi. — **Ks. Karol Jankowski**, dziekan słupecki; nad grobem zmarłego kapłana przemawiał ks. kanonik Sadowski z Królikowa, wyciskając łzy serdeczne z oczu wielotysięcznego tłumu parafian, którzy gorąco kochali swego duszpasterza. — **Ks. Władysław Bernacki**, zakończył żywot w Garbowie, dekanacie nowo-aleksandryjskim, dyecezyi lubelskiej; zapisał się w sercach trzodki swojej na zawsze. — **Ks. prałat Ludwik Kloss**, kapłan uczony, profesor i, w swoim czasie, rektor uniwersytetu lwowskiego, zmarł w Davos (Szwajcarya) w tamtejszym zakładzie leczniczym. Opiekował się lwowskiem Seminaryum Małym, którem, jako rektor, przez lat 25 zarządzał. Posiadał odznakę papieską „*Pro Ecclesia et Pontifice*“, krzyż kawalerski Grobu Zbawiciela; piastował nadto godności: szambelana rzymskiego i lwowskiego kanonika honorowego. — **Ks. Cyryl Janer**, proboszcz tarnopolski. — **Ks. kanonik Wojciechowski**, zmarły w Krakowie, dawniej przez lat 16 pracował przy kościele Panny Maryi w Paryżu. — W Żytomierzu zmarł dziekan miejscowy, **ks. Michał Rusicki**. — w Błędowie, powiecie grójeckim, **ks. Stanisław Wespański**, kanonik honorowy, proboszcz parafii Błędów. — W Iwicach, powiecie żytomierskim—**ks. Franciszek Konradzki**, ze zgromadzenia Ojców Kapucynów. — W Szczekocinach—**ks. Tomasz Józef Włodek**, długoletni proboszcz tamtejszy. — W Gowarczewie, gubernii radomskiej, **ks. Wojciech Dźbikowski**, proboszcz miejscowy. — W Regnowie, gubernii piotrkowskiej, **ks. Piotr Wojciech Neuman**, proboszcz regnowski. — Również w parafii swojej, Sierzchowej, zmarł proboszcz, **ks. Wojciech Fatrasiewicz**, Misyonarz. — W Petersburgu—**ks. Cypryan Bielikowicz**, zarządzający wydziałem gospodarczym akademii duchownej. — W Krakowie—**ks. Jan Siedlecki**, b. administrator tamtejszego kościoła Ś-go Wojciecha, pisarz wielu książeczek treści religijnej.—W Sadkach, pod Bydgoszczą—**ks. Stanisław Lemieź**, jeden z najstarszych kapłanów w Poznańskim.



**„LITANIA LORETAŃSKA“.**



**Kyrie, Elejson!—(Panie, zmiłuj się!).**



## Wyjątek z „Litanii Loretańskiej“.

### Kyrie, elejson!

**Kyrie:** „Panie“ mój, niezmierzony Majestacie, Najwyższa i Najdoskonalsza Istoto, Boże mój! Ja wierzę, że ty Tylko od nikogo nie zależysz, wszystko masz z Siebie. Wierzę, że Ty jesteś przyczyną wszelkich jestestw, że z Ciebie, przez Ciebie i w Tobie jest wszystko! Tobie i my wszyscy wraz z Najświętszą Dziewicą wszystko zawdzięczamy. Wobec Ciebie, Stwórcu, czemuż my jesteśmy? prochem, popiołem, nicością, bezsilnem i nieudolnem stworzeniem!

**Elejson:** „Zmiłuj się“ nad nami! Ty widzisz niemoc i choroby ciała naszego, Ty Boskiem Swojem Okiem przenikasz duszy naszej smutki, jej tęsknoty, wszelkie udręczenia, pokusy, żądze i grzechy! Jakież tam mrok w umyśle naszym; co za bunt, to znów chwiejność, lub zgubna martwota w woli, ile zamętu i chaosu w sercu i uczuciach naszych! A tu wróg nasz wieczny i z zewnątrz godzi! Panie mój! jakże długo trwa to moje życie, to moje wygnanie. Żyję, bo każesz; lecz za długą mi się zdaje nawet jedna chwila na świecie, gdzie tyle niebezpieczeństw, gdzie Ciebie na wieki utracić mogę, gdzie mogę o Tobie zapomnieć. Więc, Panie, zmiłuj się nad nami, zbaw nas, łaską swą podtrzymuj, nie daj zginąć! Wołamy w imię Tej, którą Kościół nazywa Matką miłosierdzia, o której powiedziano: jeśli Ją kto błogosławi, będzie i sam błogosławion. Amen.

---

Litanie tę w obrazkach zalecaliśmy w tomie poprzednim „Dzwonka Częstochowskiego“. Dla prenumeratorów „Dzwonka Częstochowskiego“ cena niższa, tylko kop. 40.

## Nowe książki religijne.

Książeczka pod tytułem „**DZIEJE KOŚCIOŁA Powszechnego**“ bardzo zasługuje na rozpowszechnienie. Autor tego dziełka p. Władysław Grzymałowski w dostępny sposób dla dzieci streścił główne wypadki z historii Kościoła Katolickiego. Ta książeczka może być użyta jako wyborny podręcznik. W całym dziełku przebija się duch prawdziwej pobożności oraz prawowierności, język jest przytem bardzo poprawny i styl gładki.

Radziłbym każdemu, kto nie miał sposobności skądinąd poznać Historii Kościoła, przeczytać przynajmniej tę książeczkę.

*X. Michał Dukalski.*



## Od Redakcyi.

*Szanownemu ks. St. Man. w Sich.* Żywot Pana Jezusa po wyjściu w „Dzwonku Częstochowskim“ będzie wydany w osobnej książce. Wielu kapłanów, równie jak i Sz. ks. Dobr., odczuwa potrzebę tego dzieła. Z serca dziękujemy za słowa życzliwe.

*Szanownemu ks. Stankajt. w Mirosł.* Za przesłane błogosławieństwa składają Sz. Ks. Dobr. wszyscy współpracownicy „Dzwonka Częstochowskiego“ serdeczne słowa podziękowania.

*W-nemu P. Dutkow. w Bolim.* Z prawdziwą przyjemnością odczytywaliśmy list Sz. Pana, tchnący sympatją dla naszego wydawnictwa. Z nadesłanej nam pracy postaramy się skorzystać.

*W-nęj P. M. Michałow. w Orzew.* Jak rolnik nie czuje utrudzenia w ciężkiej i mozolnej pracy, gdy widzi, że ziarno, przezeń rzucone, trafiło na ziemię żyzną i poczyną wydawać pożądane plony, tak również i my nie odczuwamy znużenia, lecz owszem nabieramy więcej mocy i siły, do naszej pracy, mając dowody jej pożytku w listach podobnej treści—widzimy bowiem w tem najoczywistszą Opiekę Bogarodzicy.

*W-nemu P. J. Giaro w Białymstok.* Odebraliśmy.—Dziękujemy za szczere życzenia.

*Szanownemu ks. Żychowsk. w Mąkol.* Z wdzięcznością przyjęliśmy słowa uznania od Sz. Ks. Dobr. i miło nam jest zaliczać Go do naszych czytelników.

*Szanownemu ks. Folfos. w Pacan.* Wytrwałość jest niezbędną w każdym dobrem przedsięwzięciu, pokładamy też nadzieję w dobroci Najwyższego, że jej nam udzieli. Za życzenia, z których przemawia prawdziwa szczerość, również szczerze dziękujemy.—Tom lutowy przyśłałszyśmy powtórnie.

*W-nemu P. M. Brónickiemu w Pawłowsk.* Żywa i gorąca miłość Boga oraz silne przywiązanie do wiary przodków, wzbudzają uznanie



i szacunek. Ten szacunek i my żywimy dla Sz. Pana i pragniemy, aby te tak piękne przymioty ducha i serca, potęgując się coraz silniej, zapewniły Mu szczęście doczesne i wieczne. Za życzenia dziękujemy.

*Czcigodnemu ks. dziekan. Noniewicz. w Worn.* Prenumerata opłacona przez Czcigodnego księdza dziekana do 1 lipca 1902 r.

*Szanownemu ks. Męc. w Cisow.* Tom styczniowy wysłaliśmy powtórnie. Do listu Sz. ks. dobr. dopłaciliśmy 10 kop.

*Szanownemu ks. Tyrylis. w Peters.* Za zmianę adresu odebraliśmy 20 kop. za pośrednictwem Administracji Roli.

*Szanownemu ks. Pietrusz. w Lipnik.* Prenumerata opłacona do 1 lipca 1902 roku.

*W-nemu P. Fondus. w Słom. i P. Kuczyń. w Berdycz.* Wyślemy oświęcone.

*W-nemu P. Jarmont w Łunin.* Premium w tym czasie nie będzie jeszcze gotowe.

*Szanownemu ks. W. Łubek. w Magn.* Prenumeratę opłacił Sz. ks. dobr. do 1 lipca 1903 roku.

*W-nemu P. Jechund. w Dzwiń. i P. Kosmal. w Wołocz.* Pieniądze otrzymaliśmy. Obrazy wyślemy poświęcone.

*Szanownemu ks. Dan. w Strad.* Premium nie wysłaliśmy, gdyż jeszcze nie wykończone.

*Szanownemu ks. Nowic. w Hoża i Sz. ks. Łup. w Birż.* Prenumerata opłacona przez Sz. księży dobr. do 1 lipca 1902 roku.

*Szanownemu ks. Wüstenb. w Tomasz* Prenumerata za ubiegłe półroczne 1901 roku wynosi 2 rb.

*W-nemu P. Gieras. w Bobrow.* Prenumeratę do 1 lipca 1902 r. i 50 kop. na przesyłkę i opakowanie premium otrzymaliśmy.

*Szanownemu ks. Jankow. w Błog.* Prenumerata opłacona przez Sz. ks. dobr. do 1 lipca 1903 roku.

*W-nemu P. Rut. w W.* Pieniądze otrzymaliśmy. Premium jeszcze nie gotowe.

*W-nemu P. Szajter. w Peters.* Tom marcowy wysłaliśmy powtórnie. Prenumerata opłacona do 1 lipca roku bieżącego.

*W-nemu P. J. Wichliń. w Warsz.* Adres zmieniliśmy. Obraz wyślemy poświęcony.

*W-nemu P. Lewand. w Sosnow.* Każdy prenumerator, czy opłaci półrocznie czy rocznie prenumeratę w ciągu całego 1902 roku, ma prawo do premium.

*W nemu P. J. Doman. w Ceków.* Po wykończeniu premium niezwłocznie wyślemy. Bóg zapłać za życzenia.

*W-nemu P. M. Rukasz. w Kurow.* Pieniądze otrzymaliśmy.

*Szanownemu ks. Saurusajtes. w Werzb.* Prenumerata opłacona przez Sz. ks. dobr. do 1 lipca 1902 roku.

*W-nemu P. Kremp. w Szydł.* Jak tylko premium będzie gotowe, wyślemy.

*Szanownym księżom: Ks. kanonik. Maleckiemu w Olyce, ks. kanonik. J. Kulińskiemu w Kij., ks. Markiewiczowi w Suwałk., ks. Wiśniewskiemu w Kramsk., ks. Zdybiowskiemu w Gnojnie, ks. Brykowskiemu w Kon., ks. Ojrzanowskiemu w Sochacz, ks. Wieżys. w Bolnik., ks. Raczkowskiemu w Rzecznioiw., ks. Tworzyańskiemu w Igołomii, ks. Kuczewskiemu w Konwal. i Panu Polańskiemu w Opale.* Składamy serdeczne Bóg zapłać za życzliwość okazywaną „Dzwonkowi Częstochowskiemu“.

*W nemu P. Wasilewskiemu w Peters.* Po opłaceniu reszty należności za prenumeratę „Dzwonka Częstochowskiego“ do końca roku bieżącego i po nadesłaniu 50 kopiejek na przesyłkę premium Sz. Pan otrzyma je natychmiast po wykończeniu.

Istnieje zwyczaj, że kompanie, przybywające do Częstochowy bez kapłanów, kupują do swoich kościołów na pamiątkę odbytej pielgrzymki pewne przedmioty religijne. Redakcyja „Dzwonka Częstochowskiego“ uwiadamia, że chętnie służy radą i pośrednictwem w tym względzie, ale z warunkiem, że kupujący będą mieli na to piśmienne pozwolenie od swoich księży proboszczów.

